

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naozelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 19 lutego 1910. Nr. 8.

Straszna katastrofa na morzu.

(Treść na str. 2).



W sprawie naszej Wielkiej Szarady.

Z dniem 15 b. m. zamknęliśmy listę nadsyłających rozwiązania naszej **wielkiej szarady konkursowej.** Ponieważ dotąd nadeszło około **trzy tysiące rozwiązań,** listę imienną biorących udział w losowaniu ogłosimy częściowo w numerach **9, 10 i 11** naszego pisma. **Zawiadamiamy też o tem niniejszem P. T. Prenumeratorów, aby nie nadsyłali reklamacyi, jeśliby w pierwszej lub drugiej seryi nie znaleźli swego nazwiska.** Dopiero po ogłoszeniu trzeciej i ostatniej seryi uwzględnimy słuszne reklamacye i wówczas także wyznaczymy nieodwołalny termin losowania, aby umożliwić wzięcie udziału także i tym reklamantom, których nazwiska przypadkowo zostałyby pominięte.

Rozwiązania, ani dodatkowe wyrazy, nadesłane po dniu 15 lutego b. r. nie będą uwzględniane.

Rezultat konkursu w sprawie największej ilości wyrazów, utworzonych z głosek, składających nazwisko **Słowacki,** ogłosimy później, sprawa bowiem sprawdzania zajmuje bardzo wiele czasu.

Redakcya.

Straszna katastrofa na morzu.

(Do illustracyi tytułowej).

W nocy z dnia 9 na 10 b. m. zdarzyła się na morzu śródziemnem koło wyspy Minorki straszna katastrofa okrętowa, której ofiarą padł statek pasażerski „Général Chanzy“. Katastrofa ta wywołała w całej Europie niezwykle przygnębiające wrażenie, bo jest to jedna z największych katastrof, jakie zdarzyły się w ostatnich latach na morzu.

Burza, jakiej nie pamiętają nawet starsi marynarze, szalała na morzu śródziemnem i oceanie atlantyckim z taką nieokiełzaną siłą, że zdawało się, iż jakieś nieznane potęgi rozpętały ten szalejący żywioł morski. Fale i spiętrzone bałwany podrzucały okrętem jak piłka; zdawało się, że samo piekło sprzysięgło się przeciw okrętowi „Général Chanzy“, zdążającemu z Marsylii do Algieru. Sam kapitan okrętu, Bruno Cayol, jeden z najzdolniejszych i najśmielszych oficerów kompanii transatlantyckiej, do której statek, utrzymujący stałą komunikacyę między Marsylią a Algierem, należał, zwątpił już o losie swego statku i w ową noc krytyczną, straciwszy po raz pierwszy w swojem życiu oryentacyę, musiał zdać się na łaskę rozszalałego morza, które niosło statek na pewną śmierć i zagładę.

I tu leży cała wina kapitana Cayol, tego oficera, którego w roku ubiegłym odznaczono legią honorową, za jego niezwykłą ostrożność i przezorność, za jego przytomność umysłu i śmiałość, z jaką żeglował po morzu śródziemnem, wina, która polegała na tem, że był niczem więcej, jak tylko człowiekiem, a ludzka wiedza nie wystarczyłaby nigdy, by podjąć walkę z rozhukanem i nieobliczalnem morzem. I aczkolwiek był on jednym z tych kapitanów, któremu zawsze z całem zaufaniem podróżni oddawali swój los i życie, to jednak wobec niebywałej burzy nie pozostawało nic innego, jak zdać się na łaskę opatrzności.

Statek „Général Chanzy“ wypłynął z Marsylii w środę dnia 9 b. m. o godz. 1 w południe. Do Algieru miał przybyć następnego dnia t. j. we czwartek dnia 10 b. m. między godz. 4 a 5 po południu. Na pokładzie znajdowało się ogółem 150 osób, w tem 80 podróżnych i 70 marynarzy. Między innymi wśród pasażerów znajdowała się cała trupa aktorska z Marsylii; trupa ta jechała do Algieru na przedstawienie, które tam miało się odbyć na dochód ofiar powodzi we Francyi.

W drodze wybuchła gwałtowna burza. Kapitan okrętu, chcąc uniknąć golfu, skierował okręt ku wyspom balearskim. Lecz i tu nie uszedł okręt przed rozszalałym żywiołem morskim. Jak opowiada jeden z uratowanych cudem pasażerów, okręt mimo strasznej burzy szedł dobrze. Koło godziny 3 w nocy fale z niebywałą siłą poczęły rzucać okrętem na lewo i prawo. Przerażeni pasażerowie poukrywali się w swych kajutach, ale wszyscy wierzyli, że okręt pod dzielnem kierownictwem kapitana wyjdzie zwycięsko z tej strasznej walki. Zaufanie do kapitana było tak wielkie, że wielu podróżnych umyślnie nieraz odraczało termin podróży prz[...] aby ją odbyć na okręcie kapitana Cayola.

Załoga pracowała ze zdwojoną energ[...] przeczuwając grożące niebezpieczeństwo. N[...] sły fale statek i rzuciły nim o skały w[...] norki. Przez wybity w statku otwór poczę[...] wdzierać się woda do maszyn i zanim kapitan i z[...] łoga zoryentowali się, co się stało, nastąpiła eksplozya kotła. Nagłe wstrząśnienie spowodowało wybuch prochu, którego trzydzieści tonn wieziono na statku do Algieru. Okręt pękł na pół i zatonął prawie w jednej chwili.



Straszna katastrofa na morzu: Widok na pokład rozbitego okrętu „Generał Chanzy“.

Z całej załogi wyratowało się jedynie dwoc[...] dzi, których fale wyrzuciły na pobliskie skały. W[...] kszość pasażerów zginęła, pogrążona we śnie, ka[...] tan, otoczony oficerami, zginął na stanowisku, sto[...] na mostku komendanta.

W Algierze wiadomość o zatonięciu parow[...] „Général Chanzy“ wywołała niezwykle przygnębia[...]



Nowy ban chorwacki: Dr. Mikołaj Tomasicz.

jące wrażenie. Gdy wieczorem w piątek przysz[...] wiadomość, że statek zatonął, rozegrały się w p[...] cie wśród zebranej i ciągle na statek czekającej p[...] bliczności przerażające sceny. Jakaś młoda dz[...] wczyna, oczekująca przybycia narzeczonego, dost[...] konwulsyi. Gdy burmistrz Lendre dowiedzia[...] o katastrofie, zemdlał, bo na statku jechał jeg[...]



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Rocznica tragicznej śmierci Karłowicza: Pochód narciarzy z wieńcami na miejsce zgonu ś. p. Karłowicza.

ojciec dwojga małoletnich dzieci. Na znak żałoby przerwano przedstawienie w teatrze.

Nie mniej wstrząsające sceny rozegrały się w Marsylii, gdzie biuro towarzystwa transatlantyckiego było w formalnem oblężeniu.

Okręt „Général Chanzy“ zbudowany był w r. 1892 i miał 109 m. długości, $10^1/_2$ m. szerokości, pojemności 2920 tonn. Maszyny posiadały siłę 3800 koni, a szybkość 17 węzłów na godzinę. Przed kilku laty statek został przebudowany i należał do najszybszych i najelegantszych parowców na morzu Śródziemnem.

Nowy ban chorwacki.

Ustąpienie rządu koalicyjnego na Węgrzech i nominacya nowego gabinetu z Khuen Hedervárym na czele wywołały w następstwie poważną zmianę w położeniu politycznem Chorwacyi.



Zgon wybitnego poety niemieckiego: Otton Juliusz Bierbaum.
(Do artykułu na str. 9).

Hr. Khuen Hederváry w walce z partyą niezawisłości szukać musi sojuszników przedewszystkiem między Słowianami, których dawna koalicya uciskała i prześladowała z niemniejszą zawziętością od tej, z jaką w Prusach ruguje się na każdym kroku żywioł polski. Przygotowując sobie grunt na przyszłe wybory, hr. Khuen Hederváry zawarł zgodę z Chorwatami, przyrzekł im daleko idące koncesye, a widomym dowodem tej zgody i jego życzliwego stanowiska było odwołanie znienawidzonego bana Chorwacyi, bar. Raucha.

W miejsce bar. Raucha przyszedł Mikołaj Tomasicz, były minister Chorwacyi, który jako gorący jeszcze z dawnych lat zwolennik polityki hr. Khuen Hedervárego wziął na siebie zadanie pogodzenia obu chorwackich partyi: prawicy i koalicyi serbsko-chorwackiej, które mają utworzyć w sejmie rządzącą większość.

Tomasicz pochodzi z dawnej szlacheckiej rodziny chorwackiej, a w wir życia politycznego rzucił się dość wcześnie, stając na czele nacyonalistów po stronie obecnego premiera gabinetu.



Historyczna pamiątka: Domek, w którym mieszkała i umarła Bernadetta.

Dr. Tomasicz ożeniony jest z jedną z najpiękniejszych kobiet z Zagrzebia, z córką tamtejszego prezydenta sądu Gaja. Doskonały znawca prawa opracował cenne dzieło o chorwackiem prawie państwowem, które zyskało mu między uczonymi prawnikami światową sławę.

Pierwszy model automobilu.

(Do illustracyi na str. 10).

Powstanie wozów motorowych związane jest ściśle z rozwojem lokomotyw i zastosowaniem pary jako siły rozpędowej. Już w r. 1769 jeździł Cugnot na swej maszynie drogowej po ulicach Paryża. W r. 1804 buduje Anglik Trevethik lokomotywę do celów kolejowych, podczas gdy maszyna Cugnota wyłącznie była przeznaczona do poruszania się, przewożenia ciężarów i ludzi na drogach. Tak jedna jak i druga maszyna nie odpowiadały jednak swemu celowi. Były to początki i nic dziwnego, że konstrukcye nie udawały się. Dopiero George Stephenson przystępuje w r. 1814 do budowy maszyn tak drogowych jak i kolejowych i aczkolwiek pierwsze próby wypadają niepomyślnie, to jednak już lokomotywy, zbudowane przezeń w r. 1824, posiadają wszystkie cechy i zalety współczesnych lokomotyw.

Stephenson rozumiał dobrze znaczenie wozu motorowego dla komunikacyi drogowej. Próby zbudowania wozu drogowego, poruszanego przy pomocy pary, nie odpowiedziały wprawdzie nadziejom, mimo to zbudował on pierwszy model automobilu drogowego, który do dnia dzisiejszegoprzechowywany jest w jednem muzeum londyńskiem.

Z biegiem czasu miejsce motoru parowego, zajął motor naftowy, względnie benzynowy, a w ostatnich czasach miejsce tamtych zajmuje motor elektryczny, bez porównania tańszy i pewniejszy.

Rycina przedstawia pierwszy model automobilu drogowego, zbudowanego blisko przed stu laty przez Stephensona.

Awiatyczna ciuciubabka.

Mieszkańcy Pragi doznali dwukrotnie bardzo przykrego zawodu. Zapowiedziano tam mianowicie szumnie wzlot aeroplanu. Na maszynie systemu Wrighta miał się wznieść w górę paryski awiator M. Gaubert.

Zapowiedź tego wzlotu, zareklamowana bardzo sprytnie, wywołała w Pradze ogromne zainteresowanie, to też na „przedstawienie“ przybyły nieprzejrzane tłumy widzów, a kasa zebrała kilkadziesiąt tysięcy koron [illegible] wstępu.

Tymczasem wzlot [illegible] nie odbył wcale, albowiem pan Gaubert był niedys[illegible]wany, czy też maszyna się popsuła i widowisko [illegible]łożono na kilka dni. Mimo tak przykrego rozczarowania na drugi wzlot przybyło może jeszcze więcej publiczności, spragnionej nadzwyczajnego dziwowiska. I tym razem spotkał ją jednak zawód. Wzlotu wprawdzie nie odwołano, ale to, co pan Gaubert pokazał, wyglądało raczej na kpiny z publiczności, niż na zapowiedziany wzlot. Aeroplan Gauberta wzniósł się do wysokości paru metrów, zaledwie jednak począł okrążać plac, opadł na ziemię i już się więcej nie dźwignął. Przedstawienie było skończone.

Łatwo zrozumieć, jakie oburzenie zapanowało wśród zgromadzonej publiczności, z której urządzono poprostu kpiny i narażono na duże wydatki.

Jest bardzo prawdopodobne, że spółka, która urządziła wzlot w Pradze, stale urządza tego rodzaju kawały, gdyż i w Dreźnie w podobnych warunkach odwołano wzlot w ostatniej chwili, i to z polecenia policyi, która zwątpiła, by p. Gaubert mógł się wogóle na swym aeroplanie wznieść w powietrze, bez narażenia publiczności na niebezpieczeństwo.

Wspominamy o tych zajściach głównie dlatego,



Awiatyczna ciuciubabka: Aeroplan awiatora Gauberta, którego wzloty w Pradze zupełnie się nie powiodły.

że zacna spółka ma podobno zamiar urządzić takie same widowiska w Galicyi i w Czerniowcach, ostrzeżenie więc publiczności jest zupełnie na czasie.

Więzienie na wyspie.

Ameryka uchodzi w oczach bardzo wielu ludzi za raj zbrodniarzy wszelakiej kategoryi, wiadomo też, że dużo przestępców europejskich szuka tam schronienia i bezpieczeństwa przed władzami sądowemi. Nie wynika jednak z tego bynajmniej, ażeby w Ameryce panowała bezkarność i by w Stanach Zjednoczonych lub w innych państwach zbrodniarze mogli swobodnie grasować.

Dowodem tego najlepszym są więzienia amerykańskie, wielkością swą i przestronnością przewyższające znacznie tego rodzaju zakłady europejskie i „goszczące“ w swych murach niejednokrotnie po kilka tysięcy przestępców.

Jednym z największych w świecie jest zakład karny na wyspie Blacwell Island koło Nowego Jorku. Zbudowany specyalnie w tym celu, składa się z szeregu ogromnych budynków, murowanych nadzwyczaj solidnie, o oknach opatrzonych gęstemi kratami a drzwiach i bramach żelaznych. Nadto cały zakład obwiedziony jest wysokim murem, pilnie przez cały dzień i noc strzeżonym. To też ucieczka z tego zakładu jest wprost wykluczona.

Rycina nasza przedstawia grono więźniów z Blacwell Island, wyprowadzonych czwórkami na przechadzkę w obrębie zabudowań zakładu pod czujnym dozorem.



Choroba króla szwedzkiego: Gustaw V. król Szwecyi.

Historyczna pamiątka.

Mała mieścina górska w departamencie Hautes-Pyrénées, Lourdes rozrosła się dziś w 50 z górą lat po cudownem objawieniu, na piękne i wcale okazałe miasto. Liczne hotele i pensyonaty nie mogą niejednokrotnie pomieścić tych tłumów pielgrzymów i pątników, którzy z całej Europy do Lourdes przybywają. Od r. 1858, t. j. od chwili cudownego objawienia, jakie miała Bernadetta Soubirous, ściągają tu rok rocznie setki tysięcy pielgrzymów, których liczba n. p. w r. 1892 wyniosła z górą 145 tysięcy. Koło cudownej groty wystawiono w r. 1889 wspaniały kościół z gotycką bazyliką, a w r. 1891 papież Leon XIII. polecił uroczyście obchodzić święto objawienia się Matki Boskiej w Lourdes.

Wśród tych okazałych budowli, jakiemi dziś Lourdes może się poszczycić, zwraca uwagę mały i skromny domek. Jest to domek, w którym urodziła się i wychowała Bernadetta Soubirous. Ci wszyscy, którzy tu przybywają, aby zwiedzić to miejsce, cudami słynące, nie mogą pominąć tego domku Bernadetty, który utrzymany jest do dnia dzisiejszego w swym pierwotnym stanie. Do roku 1880 mieszkała w nim Bernadetta, a obecnie stoi pustką, ale we wnętrzu jego nic się nie zmieniło.

Fotografia nasza przedstawia ostatnie zdjęcie z tego domku Bernadetty, która w roku bieżącym ma być ogłoszona świętą.

Koguci dramat.

(Do illustracyi na str. 10).

Już w poprzednim numerze wspomnieliśmy, iż najnowsza sztuka Rostanda p. t. „Chantecler“, wystawiona niedawno w Paryżu, osiągnęła olbrzymie powodzenie, a Rostanda uznano za jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów. A próba zapełnienia całego wieczoru teatralnego sztuką „zwierzęcą“, powiodła się najzupełniej.

Jak wiadomo, w ostatniej sztuce Rostanda, występują artyści w rolach zwierząt. Bohaterem jest wspaniały kogut gallijski, Chantecler, a akcya ma za temat stosunek między nim a bażantką złotopiórą.

Wystawa „Chanteclera“ przeszła wszelkie oczekiwania. Wielkie efekty sceniczne wschodu słońca i sejmiku sów były dowodem olbrzymiego postępu francuskiej techniki scenicznej. Na najszczersze i ogólne pochwały zasłużyły też kostyumy. Były one sporządzone z jedwabnego płótna, obszytego piórami. Do tych lekkich powłok przymocowano metaliczne szkielety na skrzydła i ogony, poruszane za pomocą sprężyn. Z jaką maestryą wykonano wszystkie roboty, dowodzi to, iż występujący w sztuce paw rozkładał kilkakrotnie swój prześliczny, wspaniały ogon. Ogółem występowało w sztuce Rostan da 120 przedstawicieli świata zwierzęcego, posiadającego około 248 łap, niektóre bowiem postaci są czworonożne. Łapki i łapy malowano na pończochach aktorów i opatrywano je w palce i rogowe pazury. Pióra pawia były malowane na gazie i umocowane na drutach dwumetrowej długości. Ogon, o którym wspominaliśmy, miał po rozłożeniu pięć metrów szerokości. Niektóre części kostyumów dadzą się odkręcać i odkładać na bok, n. p. skrzydła lub ogony. Twarze aktorów są bez masek, jedynie na głowach mają czuby odpowiednich ptaków.

Oczywista rzecz, że koszta wystawy i kostyumów były ogromne. Samo pierze na kostyumy, kosztowało podobno 40.000 fr.

Dekoracye dostosowano do perspektywy, z jakiej patrzą na świat kury i koguty. Drzewa mają olbrzymie pnie, krzaki i gąszcz lasu dziewiczego, są grubości trzcin, buda psa wygląda jak spory domek lub altana. A wszystko wykonane niezmiernie starannie i solidnie, nic dziwnego więc, że ogólne wrażenie sztuki było tak dodatnie.



Więzienie na wyspie: Więźniowie z zakładu karnego w Blacwell Island koło Nowego Jorku.



Obłąkany władca: Eksułtan turecki Abdul-Hamid.



Pogłoski dyplomatyczne: Mgr. Granito di Belmonte, nuncyusz papieski w Wiedniu.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

10 (Ciąg dalszy).

— Jeżeli ci się podoba, możesz denuncyować mnie i zniszczyć wszystko, czegoś sam dokonał... Lecz opuścić Ewelinę w chwili, kiedy jej grozić może najwięcej przeciwności — nigdy! Wszystko mogę uczynić, wszystko, ale nie pojadę z tobą!

Przypuszczałem, że Joe Duncan odpowie na me szczere i stanowcze słowa wybuchem zwykłego sobie gniewu. Lecz czy to przeszkodziło mu wejście nowych gości, czy też nie zdwaał sobie sprawy z mej stanowczości i szczerości, dość, że odparł mi na to wzgardliwemi słowami:

— Ach! jakiś ty głupi!... Jesteś taki sam gamajda jak i ten Marcadian... nic nie rozumiesz!... Czyż mam ci ciągle powtarzać, że wszystko, co czynię i chcę czynić, jest w twoim interesie?

I dodał, śmiejąc się:

— Chodź Jonatanie. Nie jesteś wart mej pobłażliwości; nie jesteś godzien, bym zapłacił Boldiniemu tak wielką sumę za twój portret!

I wyszliśmy z salonu Wystawy.

Na Polach Elizejskich zapytał mnie jeszcze:

— Dokąd idziesz?

— Na ulicę Michała Anioła... Po tem, coś mi powiedział, chcę zobaczyć Ewelinę.

— Spodziewam się, że nie zdradzisz się swoją czułostkowością?

— Joe! — zawołałem — żebyś ty wiedział, co się we mnie dzieje, żebyś ty mógł pojąć całą okropność mego położenia, inaczejbyś mnie sądził.

I siadając do dorożki, dodałem jeszcze:

— Ty, Joe, uważasz się za bardzo przebiegłego i zdaje ci się, że wszystko w twych rękach jest miękkim woskiem, który możesz gnieść dowoli! Pozwólże mi powiedzieć sobie, że ja w twej szkole uczyniłem znaczne postępy i że mogę ci teraz dorównać.

. . . .

Nakaz milionera, bym jechał do Ameryki, jego sarkazmy i denerwujący mnie śmiech, wszystko to wchodziło mi jednem uchem, a wychodziło drugiem. Nie chcę tutaj przedstawiać się za człowieka, nie poddającego się wrażeniom! Nie mam takiego zamiaru, położenie jednak, w jakiem się znalazłem od wczorajszego dnia, większy na mnie wpływ wywierało, niż bezwzględne rozkazy milionera. Dzięki swemu stanowisku w domu Williama, stałem się panem losu Polidora!... A czyż nie to właśnie stanowiło jedyny mój cel od czasu bezrozumnej ucieczki po śmierci Gabryeli?... Nie! za nic w świecie nie pojadę z Joe Duncanem do Nowego Jorku. Jego groźby zadenuncyowania mnie są próżne. Czyż ja nie mam dla niego również gróźb i jeszcze gorszych!... Śmierć Łucyi Weill, zniknięcie negra Dżima... Mogę teraz zmierzyć się z królem papierowym!...

Narazie zajęty byłem tylko Marcadianem i Eweliną, gdyż z ich tylko strony mogłem się obawiać teraz jakiego nierozważnego kroku... Ewelina i Marcadian widzieli Polidora i poznali go... Nie byli w stanie skryć doznanego wrażenia i przez to mogli popełnić jakiś błąd, który pociągnąłby za sobą nieobliczalne skutki. Wyznać muszę, że gdym dojechał do willi przy ulicy Michała Anioła, serce biło mi silnie. Józef służący, który podczas ostatniej mej wizyty uciekł przerażony na widok mej osoby, teraz przyjął mnie z wielką usłużnością, należną Jonatanowi Brentano, wspólnikowi milionera.

Wchodząc pod obcą postacią do tego gabinetu, który tak dobrze znałem, doznałem uczucia jakiejś przyjemności, podobnej do zarozumiałości. Marcadian pospieszył zaraz ku mnie z wyrazem wielkiego zadowolenia, jakie sprawiała mu moja wizyta.

— Ach! master Brentano! — zawołał, wyciągając ku mnie ręce — jakże się cieszę! Chciałem właśnie pisać do pana z prośbą o rozmowę.

Przystąpiłem wprost do rzeczy i odrzekłem:

— Jakiejż wiadomości udzielił mi Joe, ojciec Williama! podobno jest pan skłonny do zerwania małżeństwa, jakie ma zawrzeć jego syn z pańską siostrzenicą?

— Pan jeszcze wszystkiego nie wie!... Ewelina zaraz zjawi się tutaj, by złożyć swe uszanowanie... Doktór, który skąd właśnie wyszedł, stwierdził obniżenie się temperatury i pozwolił Ewelinie wstać z łóżka. Leżała od wczoraj...

— Od wczoraj... z powodu tego zawrotu głowy? Chciałem zlekceważyć ten wypadek. Przecież to drobnostka!

— Nie. To nie drobnostka! — odparł Marcadian z głębokiem westchnieniem... Powtórzę panu tylko to, co już mówiłem, iż pan nie wie jeszcze o wszystkiem!... Nic więcej nie mogę obecnie dodać!

Siadłem na fotelu i biorąc do ręki nóż do przecinania papieru, uderzałem nim po stole, by zaakcentować swe słowa:

— Pan jest wielkie dziecko, panie mecenasie... Muszę też oznajmić panu, iż chcę... pan słyszy, chcę, by William Duncan, syn mego wspólnika i mój spadkobierca, poślubił pańską siostrzenicę, pannę Ewelinę Barrabas!...

W chwili tej weszła do gabinetu Ewelina... Powstałem ku niej i wyciągnąłem na powitanie obie ręce. Biedne dziecko z bladą twarzyczką i z zaczerwienionemi od płaczu oczami, pospieszyło ku mnie z ufnością... Moja obrzydliwa twarz nie budziła już w niej wstrętu... Swą piękną główkę oparła czule na mem ramieniu.

Starałem się zażartować:

— Dlaczego moja panienka jest taka blada, czy chce wszystkich zasmucić sobą?

Podniosła na mnie swe załzawione oczy i powtórzyła za swym niedołężnym stryjem, który nie mógł tłómaczyć słabości swego charakteru młodością:

— Pan nie wie o wszystkiem!

— Owszem, wiem o wszystkiem dobrze — odpowiedziałem, sadzając ją koło siebie i zatrzymując w swych rękach jej drobne dłonie — rozumiem, iż William był bardzo nieroztropny, pokazując swoich chorych i tego nieznośnego Z... To się jednak już nie powtórzy, daję na to swe słowo!

— Ach! — przerwał przestraszony Marcadian — czyż doktor Duncan w istocie zamierza pozbyć się go, jak mi to dał wczoraj do zrozumienia?

— Byłoby to nieludzkie! — odpowiedziałem.

— Tak, tak, nieludzkie!... byłoby to nieludzkie — powtarzała Ewelina, nie spuszczając ze mnie swego rozczulonego wzroku.

Marcadian kiwał tylko potakująco głową... a Ewelina odezwała się znowu z pewnym żalem:

— Nie chciałabym być mimowolną nawet przyczyną nieszczęścia tego chorego! Mam też do pana wielką prośbę...

— Która jest już wysłuchana... — odrzekłem z uśmiechem.

— Chciałabym być protektorką tego chorego.

— Już nią pani jest!... A teraz — zwróciłem się do Marcadiana — niech mi pan wyjaśni powody tego zerwania, o którem pan oznajmił Joe Duncanowi.

W odpowiedzi na to Marcadian i Ewelina szepnęli razem zażenowani:

— My nie możemy... Pan nas nie zrozumie!...

— Tego tylko nie rozumiem, jak można dla jakiejś niedorzeczności rozłączać dwoje młodych ludzi, którzy się kochają. William kocha Ewelinę; Ewelina kocha Williama! Jest więc wszystko, czego potrzeba!

— Nie, to nie wszystko! — odparł z namaszczeniem Marcadian. Źle zrobiłem, iż przyłożyłem rękę do podtrzymania rodzącego się uczucia, a zapomniałem o strasznym dramacie, który siostrzenicę mą uczynił sierotą.

— Ech! cóż znowu! — przerwałem. Chodzi o co innego, tylko pan nie jest szczery!...

Marcadian spojrzał na mnie przenikliwem okiem, jakby chciał przekonać się, czy przypadkiem nie domyślam się już tej strasznej tajemnicy, która przeraziła Ewelinę i odpowiedział powoli.

— Tak... chodzi o co innego... lecz szczerość którą mam względem pana, byłaby zdradą względem innych... Niech mi pan wierzy, master Brentano, że z prawdziwym żalem widzę się zmuszonym zrzec się tego projektu małżeństwa i że z wielkim bólem siostrzenica ma poddaje się temu nowemu ciosowi losu... Niemożliwością jednak jest. najzupełniejszą niemożliwością, by William poślubił Ewelinę.

Nuciłem lekceważąco pod nosem jakąś melodyę, co mogło zostać uznane za brak dobrego wychowania ze strony Jonatana Brentano i chodząc po gabinecie, powtarzałem drwiąco:

— Co innego!... Co innego!...

Nagle stanąłem i zapytałem znienacka:

— A więc to co innego jest tylko Z..., nic więcej nie może być, tylko ten idyotyczny Z...?

Wuj i siostrzenica opuścili głowy, nic nie odpowiadając.

— Och! — rzekłem niedbale, spacerując znowu po gabinecie z rękami założonemi z tyłu — nic mnie nie obchodzą wasze sekrety i wcale ich nie chcę poznać!... Dałem pół miliona franków jako prezent dla narzeczonej Williama, ponieważ kocham go jak własnego syna, a on uwielbia swą narzeczoną i chce ją mieć za żonę!... Również i stopięćdziesiąt milionów, jakie posiadam, są dla Williama po mojej śmierci — a otrzyma on drugie tyle i od swego ojca!... Wobec miłości chłopca, posiadającego tak ogromną fortunę, pańskie skrupuły nie mogą mieć żadnego znaczenia i nic mnie one nie interesują... I to wszystko z powodu tego Z...! z powodu tego anonimowego — śmiałem się, starając się okazać zupełnie obojętnym — sprzeciwia się pan mym pragnieniom, gorącej miłości Williama, zgodzie Joe Duncana!... Moje drogie dziecko, lękam się, czy nie poddajesz się jakim zwodnym złudzeniom, pan zaś, panie mecenasie, jest zupełnie śmiesznym ze swemi obawami!... Z...! Z...! Kpiny są z tym Z...! Jeżeli państwo chcą, to go się zaraz wydali! Jeżeli państwo chcą, by go zachować, to pozostanie on tam na zawsze; daję wam na to swe słowo, iż pozostanie tam zawsze!... Posunę się nawet dalej i dam wam nowy dowód swej przyjaźni, swego wpływu na Williama, swej pomysłowości...

— Pomysłowości? — powtórzył zdziwiony Marcadian.

— Tak! Pan wie, iż William trzyma u siebie tego nieznajomego wbrew prawu i gdyby się o tem dowiedziano, doznałby wielu przykrości?

— Wiem... Mówił mi o tem wczoraj...

— Więc ja, obywatel amerykański, Jonatan Brentano, wspólnik króla papierowego, biorę tego nieznajomego na swą odpowiedzialność... Ja go oddałem na kuracyę do doktora psychiatry Williama Duncana... Ja go zawiozłem do tego domu zdrowia... Na siebie przyjmuję za niego wszelkie kłopoty... Sam będę odpowiadał przed policyą!... Dodam jeszcze, że ten Z..., którego tyle znam, co i wy, nie wyjdzie z tego zakładu bez mego pozwolenia, które znowu zależeć będzie tylko od was!... Czyż mogę co więcej jeszcze uczynić?...

Trudno mi wyrazić zdumienie i radość, jaka zamalowała się na twarzy Marcadiana i w błyszczących oczach Eweliny. Szwagier ściskał mnie serdecznie za jedną rękę a córka za drugą. Jednocześnie chcieli mi okazać swą wdzięczność:

— Ach! master Brentano! pan nie może pojąć... Pan nie może domyślić się całej doniosłości tego, co pan dla nas uczynił!... Musimy błogosławić pana jak swego zbawcę. A więc pan nas zapewnia, ża ten nieznajomy nigdy nie opuści zakładu doktore Duncana?

— Nigdy! nigdy!

— Ach! master Brentano, pan jest prawdziwie naszą opatrznością!

— To samo powiedział mi i William, który uważał mnie za umarłego od dwudziestu lat.

I obejmując czule Ewelinę, rzekłem na pożegnanie z udaną dobroduszcznością:

— Za takiego uznają mnie i inni znajomi!

XI.

Tak więc po najgorszych przejściach zacząłem odzyskiwać trochę spokoju... Wzbudziła się we mnie nadzieja, że nadal już będę przeżywał w domu Williama, który istotnie kochał mnie jak prawdziwego ojca, tylko dnie radości. Ze strony Polidora nie obawiałem się już żadnego wybryku. Widywałem go codziennie w jego celi. Zdawał się być zrezygnowanym zupełnie. William poddał się chętnie temu, co uważał u mnie za kaprys, za pewną ekscentryczność... Żartował sobie nieraz z mego opiekowania się nieznajomym, nie przykładał jednak do tego żadnej wagi i nie okazywał najmniejszego podejrzenia co do istotnego celu mej troskliwości o Z...

Wdzięczność Marcadiana i Eweliny była niezmierna. Okazywali mi ją na każdym kroku. Sądzili, że mnie wywiedli w pole, tymczasem ja to uczyniłem z nimi.

Z biegiem czasu coraz mniej przywiązywałem znaczenia do tego, od kogo w gruncie rzeczy zależało powodzenie całej tej gry, coraz mniej zwracałem uwagi na Joe Duncana, który nie zajmował się wcale ostatnimi wypadkami. Gdybym był roztropniejszy, winienem był zbadać, co go skłoniło, iż nie tylko zgadzał się na małżeństwo swego syna, ale nawet wymagał tego. Myśli jednak moje zwrócone były w inną stronę, której się nawet nie domyślał, w stronę Polidora, ukrytego przed sprawiedliwością ludzką w zakładzie psychiatrycznym Williama Duncana. Układałem najpiękniejsze projekta na przyszłość. Widziałem Williama i Ewelinę złączonych ślubem, pędzących życie w szczęściu, jakie się im należało. Widziałem się pośród nich dożywającym resztek swych dni w spokoju, bez troski, uchodząc za ojca jednego, gdy byłem w istocie ojcem drugiej. Układałem przyszłość tak, jakbym mógł nią rozporządzać, nie przypuszczając nawet, że plany moje mogą przyjąć wręcz odmienny obrót.

...Pewnego pięknego lecz chłodnego poranku zapytał mnie William po pierwszem śniadaniu, czy

nie chciałbym mu towarzyszyć... Wynajął mały angielski powozik i zamierzał udać się do Bry-sur-Marne, by zobaczyć willę rzeźbiarza Barrabasa, od której Marcadian wręczył mu klucze.

Nie mogłem pozostać obojętnym wobec podobnego zaproszenia i przyjąłem je chętnie, tając w głębi duszy wzruszenie, jakiego doznałem.

— Wiesz — rzekł mi William — że sprawa została zakończoną. Policya nie mogła trafić na żaden ślad... Uznano, że zaszedł tu straszny wypadek, który pociągnął za sobą gorsze jeszcze następstwa, gdyż dobrowolną śmierć męża i syna ofiary.

Popędzał machinalnie małego konika zaprzężonego do naszego wózka i żalił się przedemną:

— Biedna Ewelina! Ona jest prawdziwą ofiarą tego strasznego dramatu! Miłość swą dla niej uważam obecnie za rodzaj pewnego obowiązku, który muszę spełnić. Nie możesz wyobrazić sobie, jak się czuję dumnym, że miłość ta nie jest egoistyczna, czysto męska, lecz płynie z troskliwości o jej szczęście.

— Istotnie możesz być dumny z podobnych uczuć — odpowiedziałem, zdejmując rękawiczkę, by nałożyć sobie tytoniu do fajki.

William irytował mnie swojemi zwierzeniami, choć były one tak serdeczne. Potrzebowałem spokoju w tej chwili, by módz w zupełności oddać się wspomnieniom przeszłości, które wielką falą napływały mi do duszy. Dojeżdżaliśmy już do Bry-sur-Marne... Zdawało mi się wówczas, że jest we mnie dwóch ludzi, że istotnie jadę z wizytą do rzeźbiarza Barrabasa, zwanego w tej okolicy królem warjatów. Na skręcie drogi do miasteczka spotkaliśmy „Mrugacza", który wracał ze swej rannej przechadzki, a gdyśmy stanęli przed mym smutnym, opuszczonym domkiem z pozamykanemi zielonemi okiennicami, usłyszałem z za płotu, jak matka Carre zwołuje swe kury, by je nakarmić.

W sercu mem zrobiła się wielka pustka... Czułem jak łzy zbierają mi się pod powiekami... Obawiałem się przez chwilę, bym się nie zdradził. Jakby przez ironię losu narzeczony Eweliny wziął się do oprowadzania mnie po domu...

— Tędy się idzie do pracowni rzeźbiarza...

Szedłem za nim posłusznie jak człowiek obcy, który po raz pierwszy dopiero zwiedza te miejsca... Przyglądałem się spokojnym i obojętnym wzrokiem pokojom, które zamieszkiwałem przez tyle lat, w których tak radośnie płynęło me życie z ukochaną żoną i dziećmi.

— To jest właśnie pracownia — tłomaczył mi William — a to posąg „Boleści" już na ukończeniu i do którego pozowała ofiara tego strasznego wypadku.... Ewelina i jej wuj chcą przez pamięć o nieżyjących zachować wszystko tak, jak jest!... Nie będziemy mieszkali w tej willi, ani też nikt inny, dopóki my żyjemy. Prawda, że chęć utrzymania wszystkiego w dotychczasowym stanie jest jakiemś rozczulającem przywiązaniem do miejsca, w którem rozegrała się tak straszna scena?

Nie miałem sił, by na to odpowiedzieć... Stałem nieporuszony przed białym, jakby żyjącym posągiem i wpatrywałem się w ukochaną twarz, która zdawała się mówić do mnie z za grobu i dziękować swemi tajemniczemi ustami.

Byłem wzruszony do głębi duszy, co łatwo mógł spostrzedz William mimo wysiłków, jakie czyniłem, by niczego po sobie nie okazać. Wzruszenie jednak me musiał przypisać podziwowi dla dzieła artysty, gdyż rzekł mi:

— Prawda, miał talent?

Zrobiłem obojętną minę i odpowiedziałem niedbale:

— O, tak... z pewnością:... Nie był to pierwszy lepszy!... I mówisz, że twa narzeczona i jej wuj mają zamiar zachować wszystko tak, jak jest?

— Taka ich wola, a ja z pewnością nie będę się im sprzeciwiał!

— Masz słuszność, Williamie... mogę ci tylko powinszować tego... Jest to bardzo delikatnie z twej strony...

I uścisnąłem silnie rękę młodego człowieka... I napawałem swe oczy i napawałem swą duszę widokiem tych wszystkich drogich mi rzeczy, które musiałem opuścić w obecności swego przewodnika z pozorami obojętności!... Rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie na ten posąg „Boleści", pod którego opiekę jakby były oddane te miejsca... Chciałem zapomnieć o wszystkiem, nie mogłem jednak pozbyć się wspomnień, które wywoływały we mnie moje własne sprzęty domowe... Wielka kanapa, odpowiednia do drzemki poobiedniej, obrazy i akwarele z dedykacyami przyjaciół, szkice mych prac, półki z ukochanemi książkami — wszystko to było jakby strzępy mej duszy. Uczułem jednak, iż mogę się stąd oddalić bez obawy, gdyż nastrój ten, jaki tu mnie przenikał, pozostanie na zawsze w mym drogim domku... Jakiś głos wewnętrzny szeptał mi w głębi duszy słowa nadziei, iż powrócę tutaj i w szczęściu i spokoju dokonam ostatnich dni swego żywota.

Gdyśmy wsiadali do wózka, przyglądała nam się matka Carre razem z „Mrugaczem", który przyszedł



Szwagier uściskał mnie serdecznie za jedną rękę a córka za drugą.

do niej z wizytą. Usłyszałem wyraźnie, jak mówiła do emerytowanego oficera:

— To zapewne ci Amerykanie!... Ach! co za dziwna zmiana w życiu Eweliny... po takim strasznym dramacie, małżeństwo!

Dobiegła mnie i odpowiedź Mrugacza:

— Ale ten stary ma podejrzaną minę!...

Na południe wróciliśmy do siebie. Zadowolony byłem z tej wycieczki, nie przeczuwając, że tegoż jeszcze dnia Joe Duncan, po którym zawsze można było spodziewać się wszystkiego, zmieni doszczętnie cały porządek rzeczy, zburzy plany, jakie układałem na przyszłość, sprowadzi rozwiązanie całej sprawy, jakie mi nawet nie przychodziło na myśl. Źle wyrażam się, mówiąc o rozwiązaniu, gdyż zarządzenie króla papierowego zamiast uprościć wszystko, pogarszało całą sprawą... Nie mogłem jednak przewidzieć wtedy strasznych następstw tego nowego rozporządzenia, które narazie winienem był nawet uważać za zwrot bardzo korzystny dla siebie.

O trzeciej po południu przybył jak zwykle Joe... Z radości, z jaką się ze mną witał, poznałem odrazu, iż przychodzi z czemś niezwykłem. Był nadzwyczaj wesoły i na całej jego wielkiej postaci malowało się jakieś dziwne zadowolenie z siebie.

Williama nie było w domu, mógł też swobodnie wyłożyć mi cel swej wizyty.

— Mój przyjacielu, Jonatanie — rzekł mi zaraz, gdyśmy zasiedli sami w małym saloniku — w piątek o pół do piątej wieczorem odjeżdża z Hawru la Touraine... Dzisiaj jest sobota... Masz więc okrągło pięć dni wolnych, by przygotować się do wyjazdu, pozałatwiać swe interesa i pożegnać się z swymi przyjaciółmi!...

Żądaniu temu oparłem się spokojnie, lecz i energicznie:

— Cóż to, Joe!... Nie przypominasz sobie, co ci powiedziałem niedawno na wystawie?

Na słowa me wybuchnął głośnym śmiechem.

— Zamiast gadać bez sensu, posłuchaj mnie uważnie i rozważ to, czego obecnie wymagam od ciebie... Przecież nie przypuszczasz, bym ci zostawił sto pięćdziesiąt milonów dolarów na swobodne wylegiwanie się między mym głupim synem a twą rozkoszną córką, Eweliną... Choć ty jeden tylko masz istotnie prawo do nagrody...

— O jakiej nagrodzie mówisz? — przerwałem.

— Zamiary swe wyjawię ci potem, gdy będziemy już na miejscu!... Obecnie żądam od ciebie jednej tylko rzeczy, a mianowicie posłuszeństwa... Posłuchaj mnie uważnie, Jonatanie Brentano!... Jest niemoralnie... umyślnie mówię niemoralnie... korzystać samemu z majątku, a nie udzielać go komu innemu!... Brentano, ty nie masz spadkobierców!...

— Ewelina!... — rzekłem zupełnie naturalnie.

— Tak, tak... Ewelina i William!... Jest to plecenie trzy po trzy!... Ja nie z Barrabasem teraz rozmawiam. Zwracam się do swego wspólnika, Brentana! Moralność nakazuje, by Brentano miał swego spadkobiercę!... W twoim wieku nie możesz się spodziewać... nie możesz myśleć o Łucyi Weill, prawda! Należy więc załatwić tę sprawę jak najprościej!

— Jak najprościej?

— Ma się rozumieć! Czy nie masz przypadkiem między swymi przyjaciółmi jakiego młodego człowieka... chłopca, jakiegobym chciał, któryby odpowiadał mym zamiarom... który byłby godzien twej miłości, któremu mógłbyś zapewnić świetny los, dając mu swe nazwisko?... Nie masz nikogo podobnego pod ręką?

Zdumiony tak dziwną propozycyą, której istotnego celu, nie mogłem domyślać się, cofnąłem się w tył i patrzyłem z pewnem przerażeniem na tego niezwykłego milionera.

Ponieważ nie odpowiadałem, Joe Duncan zaczął się irytować.

— A więc nie masz?... To szkoda!... Znajdzie się go jednak łatwo w Nowym Jorku lub Bostonie!... Wolałbym jednak Francuza... przez wzgląd na ciebie... i przez wzgląd na tamtego!...

— Jakiego tamtego?

— Ach! jakiś ty nudny ze swojemi głupiemi pytaniami!... Masz jednem słowem pięć dni na wyszukanie sobie następcy!... Zwróć uwagę na to, że ja cię wcale niczem nie krępuję... możesz sobie wybrać nawet jakiego łajdaka, jeżeli zechcesz... Dla mnie jest to wszystko jedno!... Szukaj go nawet w ostateczności w menażeryi Williama!... Cóż mnie to może obchodzić!... Chcę tylko, byś to zrobił!

Przy tych ostatnich słowach zerwałem się z swego fotelu i stając wprost Joe Duncana, powtarzałem bezwiednie:

— W więzieniach!... Tutaj nawet!... Młodego człowieka!... Chcesz, bym przyjął obcego... bym mu dał nazwisko Brentana... bym go uczynił swym spadkobiercą i zabrał z sobą do Nowego Jorku?

— Tak, w piątek wieczorem na pokładzie Touraine! Wyjazd z Hawru... pół do piątej punktualnie!.. Statki transatlantyckie nie wyczekują na pasażerów, jak wasze omnibusy!... Co się ty tak patrzysz na mnie jak ogłupiały... Masz minę, jakbyś spał stojąco!...

— Trzeba załatwić pewne formalności...—wtrąciłem — chciałbym być na ślubie Eweliny...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bratobójcze walki w Bucharze.

Walki wyznaniowe w Turkestanie należą do najstraszniejszych i najkrwawszych. Mahometanie, gdy raz chwycą za nóż bratobójczy, nie odkładają go, dopóki nie ubroczą go w krwi swych przeciwników, a przy swej zawziętości dochodzą do okrucieństw, spotykanych tylko u ludzi na najprymitywniejszym stopniu kultury.

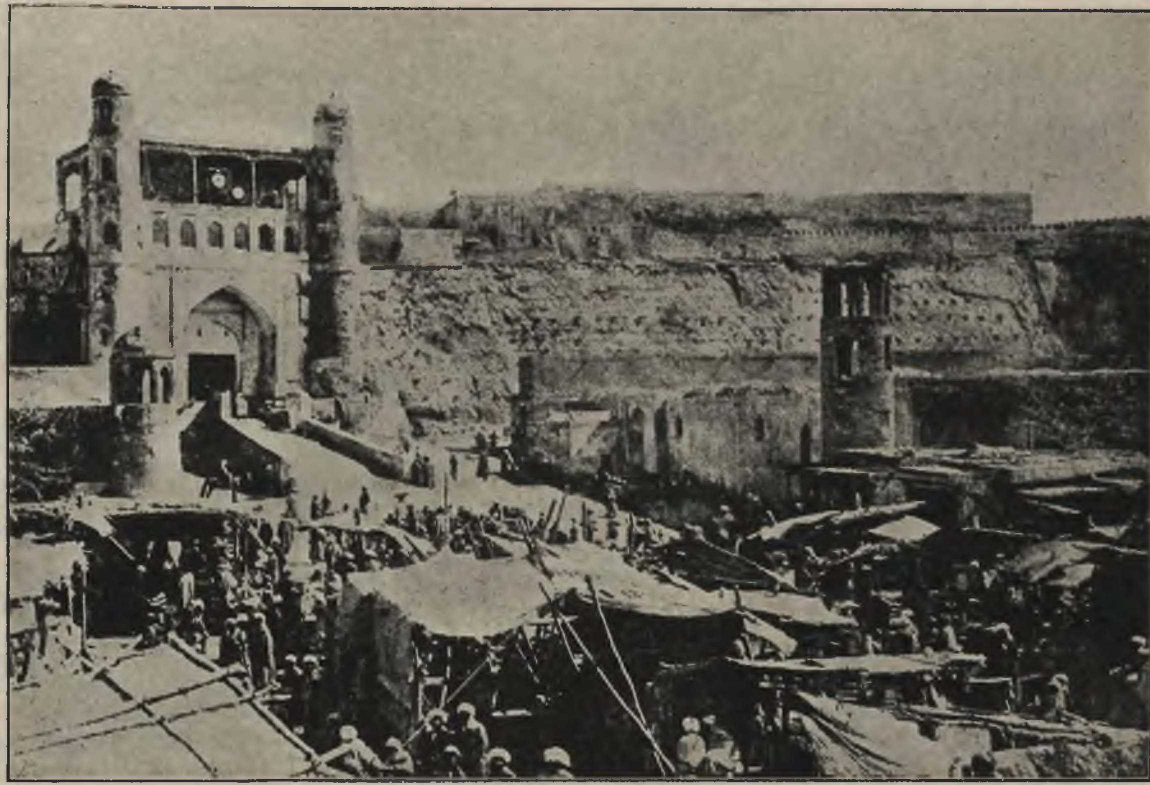
W Bucharze we Wschodnim Turkestanie miała niedawno miejsce bratobójcza walka między dwoma szczepami Sunitami i Sziitami. Walka wybuchła na tle nieporozumień religijnych. Sunici, jako Mahometanie ortodoksalni, zwalczają ustną i niespisaną tradycyę islamu, którą znowu za słuszną i za uzupełnienie koranu uważają Sziici. Wskutek obrazy kilku Persów sziickich przyszło do krwawej walki, której koniec położyć daremnie usiłował sam namiestnik Turkestanu. Obie strony poprzysięgły sobie walkę na śmierć i życie.

Liczba ofiar po obu stronach jest już dziś bardzo poważna, bo wynosi z górą 50.

Rząd rosyjski na prośbę Emira trzyma pogotowie wojskowe na pograniczu, aby w razie ponownego wybuchu bratobójczej rzezi, grożącej w następstwie niebezpieczeństwem także Europejczykom, część wojsk odkomenderować do Buchary.

Buchara była niegdyś najznaczniejszem państwem mahometańskiem w środkowej Azyi. Ludność, której liczba dosięga dziś 2 milionów, składa się z Uzbeków, którzy dzierżą w swych rękach całą władzę, koczujących Turkmenów, Tadżyków, trudniących się rolnictwem, rękodzielnictwem i handlem, Kirgizów, Arabów, zajmujących się hodowlą koni i bydła, Persów i Żydów. Pod względem oświaty Buchara przewyższa wszystkie inne państwa mahometańskie, co jednak wcale nie przeszkadza, że walki bratobójcze na tle religijnem przybierają tu niebywałe rozmiary.

Rycina nasza przedstawia pałac Emira t. j. chana, rządzącego despotycznie przy pomocy rozgałęzionej hierarchii urzędniczej. Pałac ten przypomina swym zewnętrznym wyglądem raczej jakąś ziemną fortecę i jedynie zdobny portal wraz z bramą wjazdową zdradza, że w środku znajduje się siedziba władcy Buchary.



Walki bratobójcze w Bucharze: Pałac Emira Nasr-Ulaha, zbudowany w formie fortecy.

Amerykańskie domy.

Niebywałe podnoszenie się cen gruntów w miastach naprowadziło interesowanych na myśl, by budować domy kilkunasto a nawet więcej piętrowe. Jest to nienaturalny objaw rozszerzania się miasta na wysokość zamiast na wielkość zajmowanej przestrzeni.

Ameryka stworzyła typ takich miast, a za przykładem Ameryki poszli także przedsiębiorcy europejscy. Szczególnie przy tych ulicach, które należą do najbardziej uczęszczanych, właścicielom kamienic zależy na wyciągnięciu jak największych zysków z przez nich stawianych budynków. W miejsce dawnych dwu lub co najwyżej trzechpiętrowych domów stają dziś gmachy dwudziesto a nawet trzydziesto i czterdziestopiętrowe, budowane naturalnie nie z cegły lecz z betonu i żelaza. Nowy materyał budowlany walczy zwycięsko z cegłą i wypiera ją na każdym kroku, umożliwiając równocześnie powstawanie nowych form architektonicznych i zdobniczych.

Jednym z najwyższych budynków Nowego Jorku jest *Metropolitain Tower*. Gmach ten, niedawno wykończony, przewyższa wysokością wszystkie inne drapacze chmur. Liczy on 46 pięter i należy do najokazalszych budowli Nowego Jorku.

Drożyzna mieszkań naprowadziła pomysłowych Amerykanów na myśl budowania domów zbiorowych na sprzedaż. W domu takim, składającym się z kilkuset mieszkań, może sobie każdy kupić potrzebną mu ilość pokoi na własność. Właściciel takiego mie-



Amerykańskie domy: Dom zbiorowy w Nowym Jorku ze sprzedażnymi pokojami.



Amerykańskie domy: „Metropolitain Tower", 46-piętrowy budynek w Nowym Jorku.

szkania może je sprzedać lub zapisać w spadku swym spadkobiercom i jak długo dom stoi, mieszkanie jest własnością nabywcy. Ta forma walki z lichwą mieszkaniową okazała się w Ameryce niezwykle korzystną i wydała nadzwyczaj dodatnie rezultaty, tembardziej że różne instytucye finansowe udzielają chętnie kredytu pod dogodnymi warunkami spłaty na zakupno mieszkań w takich domach zbiorowych.

Obecnie w Nowym Jorku wybudowano przy ulicy 77 w pobliżu parku centralnego naprzeciwko Muzeum Narodowego, a więc w najelegantszej części miasta, jeden z takich budynków o kilkunastu piętrach ze zbiorowemi mieszkaniami na sprzedaż. Urządzenie wewnętrzne wykonane jest z takim komfortem, że my Krakowianie nawet wyobrażenia o tem nie mamy.

Walący się most.

Coraz częściej słyszy się o niebezpieczeństwie, grożącem całemu szeregowi najcenniejszych zabytków architektury średniowiecznej z powodu powolnego niszczenia się ich i rozsypywania w gruzy. Niebezpieczeństwo to grozi zwłaszcza budynkom, położonym nad morzem lub nad rzekami, ponieważ woda, mając dostęp do ich fundamentów, przyspiesza proces rozkładu.



Walący się most: Słynny most Rialto w Wenecyi.

W ostatnich czasach zwrócono baczną uwagę na Wenecyę, która jako zbudowana bądź na malutkich wysepkach, ze wszech stron wodą oblanych, bądź nawet na pilotach, powbijanych w morze, na niebezpieczeństwo to szczególnie jest narażona.

Zaniepokojenie przyszłością i dalszymi losami Wenecyi jest zrozumiałe ze względu na mnóstwo arcydzieł sztuki i architektury, w tem mieście nagromadzonych. Niemal każdy gmach jest tam pamiątkowy i ma historyczne znaczenie.

Wśród gmachów tych jedno z pierwszych miejsc zajmuje katedra św. Marka na placu tej samej nazwy, wzniesiona w stylu bizantyńsko-romańskim. Obok katedry św. Marka wznosiła się przepiękna w swej architekturze dzwonnica, znana pod nazwą Campanilli, która w r. 1902 wskutek podmycia fundamentów rozpadła się w gruzy, którą jednak obecnie wielkim nakładem kosztów odbudowano.

Obecnie podobne niebezpieczeństwo grozi mostowi Rialto, najgłośniejszemu może z 450 mostów weneckich. Pogłoski na ten temat krążyły już przed rokiem. Urząd budowniczy miejski zaprzeczył im i wówczas na czas jakiś ucichły.

W tym roku na nowo poczęły krążyć. Pokazały się podobno nowe rysy, zwłaszcza przy sklepieniu środkowych łuków, łączących budynki, w których się mieszczą sklepy. Ponadto miano zauważyć, iż łuki osuwają się, co również zapowiada niebezpieczeństwo.

Należy przypuszczać, że kompetentne władze uczynią wszystko, co leży w ich mocy, byle tylko uchronić od zniszczenia tak cenny zabytek i piękną pamiątkę.

Brylantowe gody.

Rzadką uroczystością są złote gody weselne t. j. pięćdziesiąta rocznica ślubu, ale wprost wyjątkowe są wypadki, gdzie małżonkowie żyją sześćdziesiąt lat i mogą obchodzić brylantowe gody. Wyjątkową taką uroczystość obchodzono właśnie w Gródku Jagiellońskim, a jubilatami byli pp. Karol i Józefa z Falińskich Meissnerowie. „Pan młody“ liczy obecnie lat 83, jego małżonka 80. Przed laty sześćdziesięciu zawarli oni związek małżeński w wiosce Powitno obok Gródka.

Uroczystość godów brylantowych zgromadziła w gościnnym domu jubilatów całą prawie a bardzo liczną rodzinę, pp. Meissnerowie bowiem mają sześcioro żyjących dzieci, a to dwóch synów i cztery



Fot. Münz, Lwów.

Brylantowe gody: Sędziwi jubilaci Karol i Józefa Meissnerowie w otoczeniu swej rodziny i gości weselnych.

córki, dalej 39 wnuków, 6 prawnuków i 1 praprawnuka.

Rozpoczęto uroczystość mszą świętą w miejscowym kościele parafialnym, do której służyli: syn jubilatów, Apolinary i zięć, Zdzisław Bobelak ze Lwowa. W domu podejmowali sędziwi jubilaci z wielką gościnnością uczestników uroczystości, których prócz rodziny stawiło się bardzo wielu, by złożyć serdeczne życzenia pomyślności i długich jeszcze lat wspólnego, szczęśliwego pożycia.

Zdjęcie, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawia sędziwych jubilatów Karola i Józefę Meissnerów, w otoczeniu rodziny i zaproszonych uczestników brylantowych godów.

Przed zburzeniem historycznego pałacu.

Dzieją się czasem rzeczy, o których nawet pomyślećby nie mogli filozofowie, a tem mniej c. k. konserwatorowie galicyjscy. Oto w Rzymie ma zostać w najbliższym czasie zburzoną część historycznego pałacu, znanego pod nazwą „Palazzo di Venezia“.

Celem tego „wandalizmu“ jest stworzenie miejsca pod olbrzymi, wspaniały pomnik króla Wiktora Emanuela.

Dla nas, mieszkańców Krakowa, gdzie c. k. konserwatorowie strzegą czujnie całości każdego starego budynku, choćby on nie miał żadnej historycznej ani architektonicznej wartości, gdzie zamknięto bramy barbakanu dla panoramy bitwy pod Grunwaldem, wygląda wiadomość o zamierzonem zburzeniu części historycznego pałacu, zgoła nieprawdopodobnie. Zwłaszcza, że ma się to stać w Rzymie, w centrum i głównem siedlisku najwspanialszych zabytków starożytnej i średniowiecznej sztuki.

A jednak wiadomość ta jest najzupełniej prawdziwa. Zburzeniu ulegnie „Palazzetto“, fragment pałacu weneckiego, mieszczący od r. 1797 ambasadę austryacko węgierską.

A nie należy przypuszczać, iż „Palazzetto“ lub cały pałac „di Venezia“ to jakiś rozsypujący się w gruzy i małej wartości historycznej budynek. „Palazzo di Venezia“ należy do najcelniejszych pomników architektonicznych papieskiego Rzymu, z wieku XV. Wznosił się niegdyś wśród ogromnych i pięknych parków, a był ulubionem miejscem pobytu kilku papieży. To też urządzenie pałacu i zewnętrzne wykonanie jest pełne stylu i dobrego smaku. Z czasem został przeznaczony na siedzibę zastępców dyplomatycznych rzeczypospolitej weneckiej, stąd też pochodzi jego nazwa, a następnie oddano go w części ambasadzie austro-węgierskiej.

Z powodu bliskiego końca znacznego fragmentu tego historycznego pałacu, grono miłośników sztuki i starożytności wydało obszerne dzieło historyczne o „Palazzo di Venezia“ i ofiarowało je cesarzowi Franciszkowi Józefowi.



Przed zburzeniem historycznego pałacu: Palazzo di Venezia w Rzymie, siedziba ambasady austryacko-węgierskiej.

„Związek Górali“ w Zakopanem.

Idea, by w kraju naszym powstał kiedyś odrębny narodowy teatr chłopski, któryby przez swoją rodzimą, oryginalną działalność był źrodłem rozrywki i podniesienia duchowego włościan, przybiera coraz konkretniejsze formy.

Tow. „Związek Gorali“ w Zakopanem było i jest bezsprzecznie jednem z pierwszych i najruchliwszych towarzystw, które z własnej inicyatywy urządza co roku od szeregu lat widowiska sceniczne, oparte wyłącznie na miejscowych motywach, które wykonywują sami włościanie — górale, jak również autorami utworów są członkowie „Związku“.

Między tymi p. W. Brzega, znany artysta-rzeźbiarz, napisał już kilka takich utworów, jak n. p. „Sokół“, „Bogini Żywie“, „Nędza Litmanowski“ i w. i., mających ideowe znaczenie dla góralszczyzny a tchnących gorącą miłością ku Ojczyźnie.

Przedstawienia, urządzone przez „Związek górali“, odbywają się w sali teatralnej hotelu „Morskie Oko“ w Zakopanem. Na ostatniem przedstawieniu dano „Nędzę Litmanowskiego“, epizod z dziejów sławnego zbójnika tatrzańskiego z czasów Jana Kazimierza. Przedstawienie wypadło bardzo udatnie, to też artyści amatorowie zbierali huczne oklaski. Po przedstawieniu odbyła się huczna i wesoła zabawa góralska, przy licznym udziale miejscowej ludności oraz gości, bawiących w Zakopanem.

Zdjęcie nasze przedstawia grono członków wydziału „Związku górali“, oraz jednego z najwybitniejszych jego przedstawicieli, Wojciecha Brzegę.



„Związek górali“ w Zakopanem: Grono członków wydziału związku.

Zgon wybitnego poety niemieckiego.

Każdy cywilizowany naród posiada dziś całą plejadę poetów, wybitniejszych i mniej wybitnych, popularnych i mniej popularnych, piszących poezye z natchnienia i piszących je dla chleba tylko. To też literatura poetycka rośnie bardzo szybko i niepodobna nawet zoryentować się w masie całej pojawiających się każdego dnia nowych utworów. I trzeba dopiero istotnie bardzo poważnego talentu, by mógł zwrócić na siebie uwagę nietylko we własnym narodzie ale i wśród obcych.

Takim właśnie poetą, znanym powszechnie w Niemczech, a z tłomaczeń i za granicą, był zmarły przed kilku dniami w Dreźnie, Otton Juliusz Bierbaum, autor całego szeregu przepięknych utworów lirycznych.



„Związek górali“ w Zakopanem: Wojciech Brzega, artysta-rzeźbiarz.

„W mój rym się zmieszczą niebo i jagoda“ — powiedział o sobie Bierbaum w jednym z wierszy — i rzeczywiście w utworach jego było dużo „nieba“ prawdziwej poezyi, ale jeszcze więcej owej „jagody“. To też piosnki Bierbauma śpiewali z zapałem studenci na swych komersach, gdyż było w nich dużo pogody i radości z życia.

A jako talent naprawdę wielki, odegrał poważną rolę w chwilach zwrotnych niemieckiego ruchu literackiego i artystycznego. Współdziałał w powstaniu pierwszej monachijskiej „Secesyi“, założył stowarzyszenie „Pan“ i redagował pismo tej nazwy, należał też do założycieli „Simplicissimusa“.

Jako autor ogłosił mnóstwo utworów lirycznych, w których przedewszystkiem celował, nadto napisał kilka utworów prozą oraz dramatów.

Bierbaum urodził się 1865 r. na Śląsku, studya



Koguci dramat: Autor „Chanteclera“, Edmund Rostand.

kończył w Dreźnie i Lipsku, przebywał zaś w ostatnich latach stale w Monachium, którego atmosfera odpowiadała najbardziej rodzajowi jego talentu.

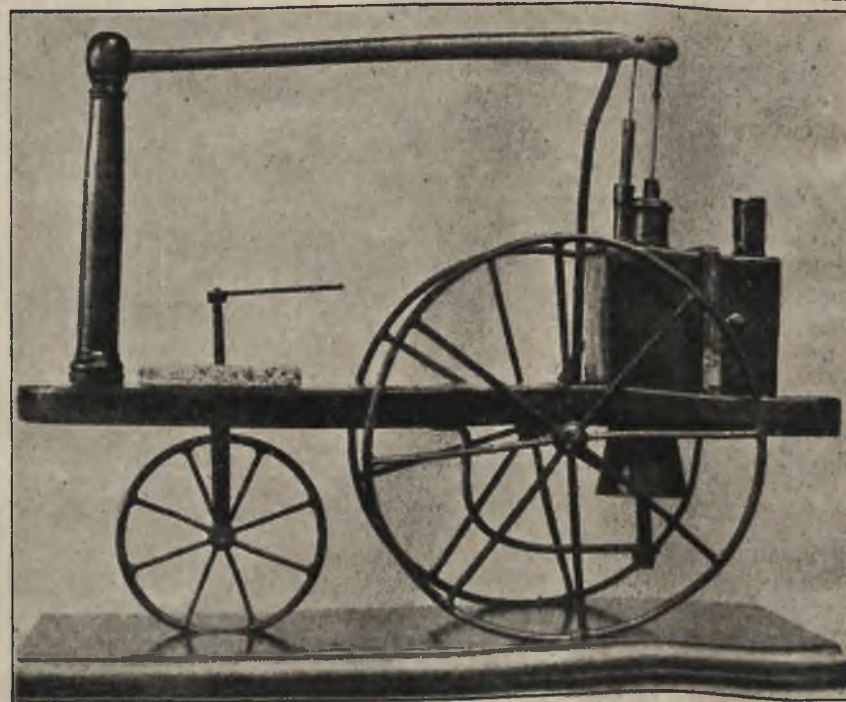
Rocznica tragicznej śmierci Karłowicza.

Rok już minął od smutnej, tragicznej chwili, kiedy Mieczysław Karłowicz, znakomity muzyk i kompozytor, a zamiłowany taternik i wiceprezes Oddziału Narciarzy, znalazł straszną śmierć pod lawiną, koło Małego Kościelca.

Zakopiański Oddział Narciarzy Towarzystwa Tatrzańskiego zorganizował w rocznicę tragicznego wypadku pochód ku miejscu zgonu Karłowicza, gdzie wznosi się teraz złom granitu z napisem: „Mieczysław Karłowicz tu zginął, porwany śnieżną lawiną dnia 8 lutego 1909 r.“ O godzinie $8^1/_2$ rano czterdziestu dwóch uczestników pochodu ruszyło dwójkami od Dworca Tatrzańskiego, prowadzeni przez p. M. Zaruskiego, prezesa Oddziału. Na czele niesiono wieńce z kosodrzewiny od Zakopiańskiego Oddziału, z kwiatów żywych, wplecionych w gałązki smreków, od Towarzystwa Tatrzańskiego i trzeci od chóru uczniów miejscowej Szkoły rzeźbiarskiej.

Pochód przeszedł ulicami: Krupówki i Zamoyskiego do pomnika Chałubińskiego, skąd uczestnicy udali się do Kuźnic sankami. Dalszą drogę musieli odbyć na nartach. Ogromny szereg narciarzy, idących jeden za drugim, rozwinął się na Skupniowym Upłazie. Po czterech blisko godzinach drogi pochód zatrzymał się przy schronisku Towarzystwa Tatrzańskiego na Hali Gąsienicowej, a stamtąd po krótkim wypoczynku udano się w dalszą drogę.

Na miejcu tragicznej śmierci Karłowicza ogromne śnieżne zaspy. Starej, wysokiej kosodrzewiny ani śladu; z bloku granitowego wynurzał się ze śniegu sam tylko czubek. Kierownik pochodu sprowadził uczestników ze stoków dubrawisk i w półkole ustawił w bezpiecznem miejscu, poczem sam z kilku narciarzami i chórem zbliżył się do kamienia pamiątkowego, na którym zatknięto płonącą pochodnię. Chór odśpiewał kantatę kompozycyi p. Hirschla, na ten dzień umyślnie napisaną. Dziwnie brzmiały jej



Pierwszy model automobilu: Automobil drogowy, zbudowany przez Grzegorza Stephensona.

słowa na śnieżnej pustyni wobec potężnych gór, patrzących na skupioną gromadkę... Widmo śmierci strasznej unosiło się pod turniami; czuli to wszyscy.

Złożono wieńce, poczem nastąpiły krótkie a smutne przemówienia przedstawicieli Zakopiańskiego Oddziału Narciarzy, Towarzystwa Tatrzańskiego i Akademickiego Związku Sportowego, odczytano telegram Karpackiego Towarzystwa Narciarzy i jeszcze raz odśpiewano rzewną kantatę.

Na tem zakończyła się smutna uroczystość, a uczestnicy jej ruszyli z powrotem w stronę Hali Gąsienicowej.



Koguci dramat: Scena z „Chanteclera“ Rostanda. Na pierwszym planie Chantecler (Guitry) i bażancica (Mme Simone).

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

7

— Niema tu co wyjaśniać. Henryk Klawering mieszka, jak już mówiłem, w Hofman-House. Nie jest on tutejszy, lecz zna całe miasto; bawi się, chodzi na spacery, jeździ powozem, u nikogo jednak w domu nie bywa, jest wielkim wielbicielem dam, lecz do żadnej z nich nigdy nie podchodzi — jednem słowem jest to człowiek, z którym warto się poznać, lecz ja osobiście nie mogę zawiązać z nim znajomości.

— I pan chciałby?...

— Byłaby to doskonała znajomość dla młodego, zdolnego adwokata z dobrej rodziny. Jestem przekonany, że człowiek ten wart jest tego, by się z nim poznać.

— Lecz...

— Niech pan nawet wprowadzi go do swej rodziny, niech pan postara się pozyskać jego zaufanie...

— Panie Grys — zawołałem żywo — nigdy nie zgodzę się na zdobywanie cudzej ufności, by potem wydać go w ręce policyi.

— Lecz w pańskim interesie leży poznać się z panem Klaweringiem!

— Więc to tak! — odezwałem się, zaczynając domyślać się wszystkiego. — Więc człowiek ten jest w pewnej styczności z naszą sprawą?

— Niech pan mnie posłucha — rzekł znowu Grys — nie sądzę, aby pan musiał zdradzić go, jak pan myśli; bardzo możliwe, że wszystko ograniczy się tylko na znajomości z nim. Czy pan ma cośkolwiek przeciw zawarciu stosunków z tym jegomościem?

— Nic.

— A nie ma pan także nic przeciw temu, by porozmawiać z nim, jeżeli się będzie panu podobać?

I tym razem odpowiedziałem „nic“, lecz już mniej pewnie — wstrętną mi była ta rola towarzyskiego szpiega, jaką usiłowano mi w danej chwili narzucić.

— Wobec tego radzę panu przenieść się zaraz do Hofman-House.

— Nie uważam, by było to tak konieczne, zwłaszcza, iż widziałem się z tym człowiekiem i rozmawiałem z nim.

— Gdzie?

— Niech mi pan naprzód opisze jego wygląd.

— Jest on wysoki i zgrabny, trzyma się prosto, minę ma dość dumną, twarz małą, cerę i włosy ciemne, przenikliwy wzrok i eleganckie ruchy — naogół sprawia bardzo dodatnie wrażenie.

— Zdaje się, żem go widział — odparłem i w kilku słowach opowiedziałem, gdzie i kiedym go spotkał.

— Więc to tak! — szepnął Grys — widocznie i on panem się interesuje, jak pan nim. Szkoda, że pan rozmawiał już z nim, bardzo możliwe, że i on już wyrobił sobie o panu niekorzystne zdanie, a nam bardzo przecie na tem zależy, by nie miał do pana żadnej niechęci.

W... i przeszedł się po pokoju.

— ...usimy postępować bardzo ostrożnie — mówił po ...rótkiem milczeniu. — Niech pan pójdzie do czytelni w Hofman-House i okaże się takim, jakim pan jest w rzeczywistości; może panu uda się wszcząć z kim rozmowę — a reszta zrobi się już sama.

— A jeżeli ja się mylę i człowiek ten, o którym mówiłem, nie nazywa się Klawering?

— Przyznam się, że bardzo by mnie to zdziwiło — odparł agent.

— Panie Grys — mówiłem dalej, by okazać mu, że nie zapomniałem o głównym celu mej wizyty — muszę porozmawiać z panem jeszcze o jednej osobie.

— Naprawdę? — zapytał i zwrócił się ku mnie — któż to być może?

— Któż, jeżeli nie... — zawahałem się; czy ...iałem moralne prawo wspominać tu o człowieku, ...zeciw któremu nie było absolutnie żadnych po...dlak? — Przepraszam — rzekłem — lepiej może będzie, jeżeli nie wymienię jego nazwiska.

— Hervel — rzekł mimochodem.

Zarumieniłem się cały — poznał, że zgadł.

— Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy porozmawiać o nim; jak pan sądzi, czy prawdę mówił na śledztwie.

— Nikt nie zbił jego zeznań — odpowiedziałem.— Jest to dziwny człowiek.

— Lecz i ja jestem dziwny człowiek — zauważył spokojnie Grys.

Obraziłem się i czując, że w danej chwili nie ja jestem górą, wziąłem kapelusz i chciałem wyjść; przypomniała mi się jednak Dżen i zapytałem jeszcze o nią.

Wahał się, czy być ze mną szczerym, czy nie, wreszcie zawołał:

— Zdaje mi się, że w sprawę tę wmieszał się sam czort. Ileśmy się jej naszukali, a mimo to nie znaleźliśmy najmniejszego jej śladu: jakby w ziemię się zapadła. Nie zdziwię się, gdy usłyszę, że wyciągnięto ją z rzeki lub z jakiego rowu, albo piwnicy.

— Wszystko zależy od zeznań tej dziewczyny — dodałem.

— Co mówi o tem miss Eleonora?

— Że ta dziewczyna nic nie może jej pomódz.

Nie zdziwił się wcale, lecz rzekł:

— Trzeba ją odszukać koniecznie, choćby przyszło wysłać w pole „Czuły węch“.

— Kto to jest?

— Jest to jeden z mych ajentów — nazwaliśmy go tak za niezwykły istotnie węch. Ale, panie Rymond, gdy testament zostanie otwarty, niech pan przyjdzie do mnie.

— Testament! Zupełnie zapomniałem o nim.

XIV.

Henryk Klawering.

Byłem na pogrzebie pana Lavenforta, nie udało mi się jednak ani przed, ani po ceremonii zamienić choć kilku słów z pannami. Rozmawiałem natomiast z Hervelem, który choć nic nowego mi nie powiedział, dał mi za to wiele do myślenia. Zaraz po pogrzebie podszedł ku mnie i zapytał, czy czytałem notatkę w gazecie o Eleonorze Lavenfort. Odpowiedziałem twierdząco i zarazem wyraziłem zdziwienie, jak taki artykuł mógł się ukazać w dzienniku.

Słowa jego zdumiały mnie:

— Sumienie zawsze zmusi winowajcę do zdradzenia się wcześniej czy później — rzekł zupełnie spokojnie.

Uwaga ta, uczyniona przez człowieka, który twierdził, iż absolutnie nie wie, kto może być zabójcą, bardzo mnie zastanowiła. Chętnie prowadziłbym dalej rozmowę, sekretarz jednak nie odznaczał się mównością i szybko pożegnał mnie. Postanowiłem jak najprędzej zapoznać się z Henrykiem Klaweringiem; może on będzie mógł udzielić mi jakich szczegółów o obu pannach.

Tegoż dnia wieczorem dostałem wiadomość od pana Beleya; pisał mi, że powrócił już, lecz czuje się tak chorym, iż nie jest w stanie rozmawiać o śmierci Lavenforta. Otrzymałem także kilka wierszy od miss Eleonory — podawała mi swój nowy adres, lecz prosiła tylko o przyjście w tym wypadku, gdyby stało się coś ważnego, jest bowiem chora i ciężko jej przyjmować wizyty. Zasmuciło mnie to bardzo. Chora... sama w obcym domu, jakże jej przykro być musi!

Idąc za radą Grysa, udałem się następnego dnia do Hofman-House i usiadłem w czytelni. Nie zdążyłem jeszcze przeczytać kilku wierszy, gdy wszedł ten, na kogo czekałem. I on zapewne przypomniał sobie nasze spotkanie na ulicy, zmieszał się bowiem trochę, lecz zaraz opanował się, wziął gazetę i pogrążył się w czytaniu. Czułem jednak mimo to, że jego ciemne, piękne oczy wpatrują się we mnie, jak gdyby chciały zapamiętać najdrobniejszy rys mej twarzy; uczucie to było bardzo niemiłe i uciążliwe. Ponieważ moje przypatrywanie się mu byłoby bardzo nieroztropnem, wstałem i podszedłem do swego starego przyjaciela, który siedział w pobliżu mnie; zacząłem rozmawiać z nim i wkrótce nadarzyła mi się sposobność rozpytać go o nieznajomego, który mnie interesował. Dik Ferbiż bywał w najrozmaitszych towarzystwach i znał prawie wszystkich.

— Nazywa się Klawering — rzekł mi — i mieszka w Londynie; nic więcej o nim nie wiem, chociaż spotykam go wszędzie, tylko nie w prywatnych domach. Jeszcze nie jest przyjęty do towarzystwa — zapewne nie ma do nikogo polecających listów.

— Czy to człowiek wykształcony?

— Bez wątpienia.

— Zna go pan?

— Bardzo mało, zamieniamy nieraz przy spotkaniu kilka słów, lecz nic więcej.

Wkrótce pożegnałem się ze swym znajomym i wyszedłem. Na ulicy opanowały mnie różne wątpliwości. Jak mógł ten jegomość, u nikogo nie bywający, być zamieszanym do sprawy, która mnie tak zajmowała? Po raz pierwszy dopiero zacząłem powątpiewać o przenikliwości Grysa, który zwrócił mi na niego uwagę. Następnego dnia powtórzyłem ten sam manewr, z podobnym jednak rezultatem. Klawering był w czytelni, lecz natychmiast po ujrzeniu mnie wyszedł: domyśliłem się z tego, że nie tak łatwo zawrzeć z nim znajomość, jak mi się to zdawało. Aby wynagrodzić sobie to niepowodzenie, poszedłem wieczorem z odwiedzinami do Mary Lavenfort. Miss Mary przyjęła mnie z wielką serdecznością. Przedstawiła mnie jakiejś starszej damie, która zamieszkała w jej domu w charakterze towarzyszki i odezwała się zaraz.

— Pan napewno przyszedł mnie uwiadomić, że wreszcie znalezion Dżen?

— Nie, jeszcze jej nie znaleziono — odparłem zasmucony tem, iż nie mogę jej ucieszyć podobną wieścią.

— Lecz tutaj był pan Grys i mówił, że spodziewa się znaleść ją w krótkim czasie.

— Pan Grys był tutaj?

— Przyszedł nas powiadomić, jak stoi cała sprawa. Niestety, posuwa się ona naprzód bardzo wolno — dodała ze smutkiem.

— Pani za prędko poddaje się przygnębieniu, trzeba poczekać cierpliwie — rzekłem.

— Cóż ja mam począć: każdy dzień, każda godzina tej niepewności działa na mnie ujemnie. Gotowa jestem wszystko uczynić, przeszukać każdy kąt... Ja bym...

— Coby pani zrobiła? — zapytałem, gdyż naraz przerwała swe zdanie.

— Nie wiem — odparła zmieszana; — bardzo możliwe, że jabym nic nie zrobiła.

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwała się znowu:

— Pan widział dzisiaj Eleonorę?

Kiwnąłem przecząco głową.

Widocznie nie zadowoliła się tem, gdyż natychmiast po wyjściu swej towarzyszki z pokoju, zapytała mnie poważnie, co myślę o stanie zdrowia Eleonory.

— Zdaje mi się, że zdrowie jej pogorszyło się — rzekłem.

— Bardzo mi przykro, że nie jestem razem z Eleonorą — szepnęła, a widząc me niedowierzające wejrzenie, dodała: — Ja pierwsza istotnie nastawałam na to, iż musimy się rozejść, lecz mimo to ja nardzo cierpię z powodu tego rozłączenia.

— Z pewnością niemniej, niż pani kuzynka — zauważyłem.

— Tak pan sądzi? Może dlatego, iż znajduję się w daleko gorszych warunkach materyalnych, niż ja? Lecz niech mi pan wierzy, iż bardzo czułabym się szczęśliwą, gdybym mogła skłonić Eleonorę do przyjęcia połowy mego majątku; boję się jednak, iż ona nigdy nie zgodzi się na to.

— W obecnych warunkach jest to najmądrzejsze z tego, co może teraz uczynić.

— Owszem — odparła Mary — ja jednak cieszyłabym się z tego bardzo. Majątek ten, który spadł na mnie obecnie, poprostu przygniata mnie Dzisiaj po przeczytania testamentu, który uczynił mnie prawie milionerką, miałam wrażenie, że narzucono na mnie ciężki, zbryzgany krwią śmiertelny całun. Niegdyś oczekiwałam dnia tego z zupełnie innem uczuciem. Było to bez wątpienia złem z mej strony, lecz ja istotnie czekałam na tę chwilę, byłam bowiem bardzo rozpieszczona i pieniądze dla mnie znaczyły wszystko. Gdy dwanaście lat temu stryj mnie ucałował i rzekł: „Ty, moje dziecko, będziesz moją spadkobierczynią“ — położenie me w tym domu odrazu zmieniło się. Dogadzano mi, nazywano małą księżniczką, ulubienicą stryja; można się dziwić, że dotychczas nie stałam się zupełną egoistką. Mimo to, ja wtedy już rozumiałam, że to tylko kaprys ze strony stryja i że to jest niesprawiedliwością względem Eleonory, która jeżeli nie lepszą, to nie była i gorszą ode mnie.

Zamilkła na chwilę i z trudem powstrzymała płacz, jednocześnie jednak spoglądała na mnie ukradkiem, potem mówiła dalej swym cichym, dźwięcznym głosem.

— Wiem, że we mnie jest wiele niedostatków, można je jednak wytłómaczyć, gdyż wszystko przebaczało się młodej i szczęśliwej spadkobierczyni. Nigdy nikt nie sprzeciwiał mi się i nie ganił mego postępowania. I teraz oto, gdy te wszystkie pieniądze, o których tak marzyłam, należą do mnie, gotowa jestem oddać je, jeżeliby... zresztą ja nie mam prawa zajmować pana wylewami swych uczuć. Niech pan zapomni o tem, o czem mówiłam, a pamięta tylko o tem, iż jestem nieszczęśliwa, sama i opuszczona.

— Nie, wcale nie chcę zapomnieć tego, co pani mówiła. Z słów pani widzę, iż majątek pana Lavenforta dostał się w ręce takiej osoby, która będzie umiała użyć go odpowiednio.

— Zmieńmy jednak rozmowę — przerwała mi i przybrała minę bardzo poważną. — Chodzi o to, iż muszę porozmawiać z panem o jednej rzeczy, która bardzo mnie niepokoi. Jak panu już wiadomo, stryj niedługo przed śmiercią zaczął pisać książkę o Chinach. Wiem, że chciał ją wydać jak najprędzej i teraz właśnie myślę tylko o tem, by spełnić jego życzenie. Muszę jednak znaleść kogoś, ktoby przyjął na siebie wydanie tej książki. Postanowiłam odmówić panu Hervelowi, ponieważ jemu nie można poruczyć w żaden sposób tej pracy. Nikt oprócz pana nie jest zdolny zająć się tem. Jeżeliby to nie było zbyt wielką śmiałością z mej strony, prosiłabym pana o przejrzenie rękopisu i orzeczenie, co z nim należy uczynić.

Zadziwiającem jest poprostu, jak jej prośba odpowiadała mym tajemnym pragnieniom — o tem tylko myślałem, jak znaleść swobodny dostęp do tego domu i oto los wszystko urządził. Nie podejrzewałem w chwili tej, że wdzięczność za to winienem Grysowi, który mnie polecił do tej pracy.

Chociaż propozycya ta bardzo mnie ucieszyła, uznałem jednak za swój obowiązek wyjaśnić miss Mary, iż nie jestem kompetentnym w sprawach, jakie ta książka porusza i że lepiej jest wręczyć ją jakiemuś specyaliście. Nie chciała jednak słyszeć nawet o tem.

— Pan Hervel posiada cały stos materyałów do niej — mówiła — on może panu dać potrzebne wyjaśnienia, jeżeliby pan znalazł jakieś niejasności w tej książce.

— Lecz dlaczego nie chce pani poruczyć tej pracy panu Hervelowi? On zdaje się jest wykształcony i inteligentny.

Kiwnęła głową i odrzekła:

— Nie, on nie nadaje się do tej pracy. Wiem, że stryj dyktował mu wszystko od początku do końca i nie pozostawiłby mu do napisania ani jednego wiersza. Ja w tym wypadku chcę postąpić tak, jakby stryj postąpił.

— Lecz może panu Hervelowi nie będzie przyjemnie, jeżeli do jego pracy będzie się mieszał obcy człowiek?

— To mnie nic nie obchodzi — rzekła. — Pan Hervel służy u mnie i musi słuchać. Zresztą mówiłam z nim o tem i on nic nie ma przeciw temu.

— Postaram się spełnić pani życzenie. W każdym razie przejrzę rękopis i wtedy dam pani odpowiedź.

— Dziękuję panu; nie wiem nawet, jak odwdzięczyć się za pańską uprzejmość — dodała. — Może pan cechce rozmówić się sam z panem Hervelem?

Skierowała się do drzwi, lecz naraz zatrzymała się i szepnęła:

— On jest w bibliotece; czy niema pan nic przeciw temu, by tam iść?

Pohamowałem nieprzyjemne uczucie, jakie mnie opanowało przy wspomnieniu tego pokoju i odpowiedziałem, że jestem gotów udać się tam.

— Wszystkie papiery znajdują się w bibliotece — mówiła dalej — i pan Hervel twierdzi, że lepiej pracuje na dawnem miejscu. Lecz jeżeli pan chce, mogę posłać po niego, by przyszedł tutaj.

Nie przyjąłem tej usłużności i poszedłem na schody. Mary szła za mną.

— Myślałam już o tem, by zamknąć ten pokój, lecz coś mnie powstrzymuje od tego. Również nie mogę opuścić togo domu, chociaż przeżyłam w nim tak straszne chwile i chociaż ciągle doznaję w nim jakiegoś lęku. Nieraz wieczorem... nie będę jednak pana nudziła swemi głupstwami, pan i tak zapewne jest już zmęczony.

Gdyśmy weszli do biblioteki, zdumiałem się bardzo na widok Herwela, który siedział najspokojniej na miejscu, gdzie pan jego wydał ostatnie tchnienie. Jeszcze bardziej byłem zdziwiony tem, iż właśnie to miejsce, związane z tak strasznemi wspomnieniami, wybrał do swej pracy i zajmuje je, jakby nigdy nic tu się nie stało. Potem dopiero stwierdziłem, iż światło do pokoju wpadało przez okna w ten sposób, iż tylko tu właśnie można było pracować. Mimo to podziwiałem zimną krew Hervela, który przy spełnianiu obowiązku nie zwracał uwagi na swe własne wrażenia. Przy naszem wejściu podniósł głowę od biurka, lecz tak był widocznie pogrążony w swej pracy, iż nawet nie wstał nas powitać.

— On jest bardzo roztargniony — wyszeptała Mary — i jestem pewna, ze nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, kto my jesteśmy.

Podeszła do niego bliżej, by zwrócić na siebie jego uwagę i rzekła:

— Przyprowadziłam tu pana Rymonda. Jest on tak uprzejmy, iż chce zająć się wydaniem książki, o której rozmawiałam z panem.

Skłonił się, mruknął coś pod nosem i gdy tylko Mary wyszła, znowu wziął pióro do ręki.

Spojrzałem mu prosto w twarz i rzekłem stanowczo:

— Chciałbym porozmawiać z panem na osobności.

— Chce pan mówić o tem zabójstwie?

— Tak — odpowiedziałem.

— W takim razie muszę panu oznajmić — rzekł nie zbyt pewnie — że nie tylko nie chcę mówić o tym strasznym wypadku, ale nawet i myśleć o nim.

Zdenerwowany tem niepowodzeniem i niemożliwością dowiedzenia się czegokolwiek od tego człowieka, zrezygnowałem z rozmowy i wziąłem za rękopis. Szybko przejrzałem go, zamieniłem kilka słów co do jego treści z Herwelem i przekonawszy się, że mogę spełnić prośbę miss Mary i wydać tę książkę, zabrałem rękopis i udałem się do salonu.



Zamilkła na chwilę i z trudem powstrzymywała płacz.

Gdy w godzinę potem wychodziłem z tego domu, byłem zadowolony, iż przynajmniej jedną przeszkodę usunąłem ze swej drogi. Jeżeli nie dopnę swego celu, to stanie się to z jakiejś innej przyczyny, a nie z powodu braku dostępu do tego domu, który mnie tak interesował.

XV.

Testament milionera.

Na drugi dzień ukazały się w gazetach wyciągi z testamentu Lavenforta. Treść jego wcale mnie nie zadziwiła. Większa część jego majątku została zapisana Mary i tylko w dodatkach do testamentu było zaznaczone, że i dla Eleonory jest przeznaczona dość znaczna zresztą suma. Gdy przeczytałem wszystko, co mnie mogło w tej sprawie interesować, udałem się zaraz do Grysa, pamiętając o zaproszeniu, by przyjść do niego po otwarciu testamentu.

— Dzień dobry — powitał mnie — proszę, niech pan siada.

Wziąłem krzesło i siadłem koło niego.

— Chciałbym wiedzieć, co pan myśli o testamencie Lavenforta i o roli, jaką jego ostatnia wola odegrała w tym dramacie? — rzekłem.

— A pan co sądzi?

— Wątpię, czy mógł ktokolwiek po otwarciu testamentu i poznaniu go zmienić swój pogląd na tę sprawę. Ci, którzy poprzednio już podejrzewali Eleonorę, będą uważali, że teraz jeszcze więcej mają powodów do oskarżania jej, a ci, którzy wątpili o jej winie, nie będą przecież przypisywali jej tego zabójstwa, które jej przyniosło tak drobną stosunkowo sumę.

— Pan zapewne słyszał, co wogóle mówią z tego powodu?

— Nikt nie może pojąć, dlaczego jednej kuzynce dostało się tak wiele, a drugiej tak mało, nikomu jednak na myśl nie przychodzi tłómaczyć tem tego zabójstwa.

— I pana nie doprowadziło to na żaden poważniejszy domysł? — zapytał.

— Domysł? — powtórzyłem — zupełnie nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Od trzech dni nic innego nie robię, jak tylko zastanawiam się i rozmyślam o tem.

— Niech pan nie gniewa się — rzekł — wcale nie chciałem go dotknąć. Widział pan Klaweringa?

— Widziałem, lecz nic więcej.

— I pan rzeczywiście gotów jest pomagać Hervelowi przy wydaniu tej książki?

— Skąd pan o tem wie?

Uśmiechnął się tylko.

— Tak, zdecydowałem się spełnić prośbę miss Lavenfort i wziąć na siebie ten trud.

— Ona — cudowne stworzenie! — zawołał z niespodzianym zapałem, lecz zaraz przyszedł do zwykłego swego tonu: — Pan może teraz wykryć tę tajemnicę. Chciałbym dowiedzieć się od pana dwóch rzeczy: pierwszej, w jakim stosunku pan Klawering znajduje się do tych pań i i...

— W takim razie między nimi były jakieś stosunki?

— Bez wątpienia. I drugie, co wywołało nieporozumienie między obiema kuzynkami?

Milczałem i rozmyślałem nad tem, czego on żąda ode mnie. Winienem stać się szpiegiem w domu tej pięknej panny. Jak mogłem pogodzić to z pojęciami o honorze i uczciwości?

— Może pan znajdzie kogo innego, ktoby lepiej potrafił zgłębić tę tajemnicę? — zapytałem. Rola szpiega jest mi wstrętna.

Grys zmarszczył brwi.

— Naprzód jestem gotów pomódz Hervelowi przy wydawaniu tej książki — mówiłem — potem postaram się poznać Klaweringa i sprobuję zdobyć zaufanie Mary. Podsłuchiwać jednak pod drzwiami, zakładając jakieś sidła — na to nie zdobędę się, gdyż jest to niegodne uczciwego człowieka. Podejmuję się dowiedzieć wszystkiego, co można otrzymać prostą drogą, resztę jednak pozostawiam panu.

— Więc to tak! Więc my mamy wyciągać dla pana kasztany z ognia? — odezwał się ironicznie agent. — Ja również wiem, co może, a czego nie może czynić porządny człowiek.

— A co pan nowego dowiedział się o Dżen? — zapytałem, by zmienić rozmowę.

— Nic — odrzekł, wzdychając i smutnie opuszczając głowę.

Następnego dnia, gdy popracowałem godzinę razem z Hervelem i schodziłem na dół po schodach, spotkałem miss Mary. Już poprzednio domyślałem się, że chce ona porozmawiać o czemś ze mną, lecz ton i sposób, w jaki zaczęła rozmowę, bardzo mnie dziwił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon dziennikarza-literata.

Z grona krakowskich dziennikarzy ubył jeden z najsympatyczniejszych i najbardziej utalentowanych, człowiek wielkich zalet serca i umysłu, charakter na wskróś czysty, ś. p. Zenon Parvi, członek redakcyi *Nowej Reformy*. W kilku dniach zmogła go ciężka choroba, robiąc dotkliwy wyłom w dziennikarstwie naszem i w literaturze, której śp. Parvi poświęcał wszystkie od zajęć zawodowych wolne chwile.



Zgon dziennikarza-literata: Ś. p. Zenon Parvi.

Krakowianin, syn znanej tu i szanowanej rodziny poświęcił się po ukończeniu szkoły realnej pracy dziennikarsko-literackiej, zamieszczając swe utwory w czasopiśmie *Myśl*, a następnie przesyłając korespondencye do kilku pism warszawskich. W r. 1892 wstąpił do redakcyi *Nowej Reformy*, w której objął dział sprawozdawczy z dziedziny życia lokalnego.

Na skromnem tem stanowisku odznaczał się zawsze nadzwyczajną sumiennością i poczuciem obowiązków i był wzorem dla kolegów. Mimo bardzo wybitnych zdolności literackich, skromny i niewymagający, cieszył się w szerokiem gronie znajomych nadzwyczajną sympatyą.

W literaturze pozostawił spory dorobek, zapewniający mu piękną kartę w dziale dramaturgii. Z wielu jego utworów scenicznych, grywanych na scenach ludowych i amatorskich, najpopularniejszy jest utwór jednoaktowy wierszem p. t. „Hanusia Krożańska", osnuty na tle pamiętnych wypadków w Krożach. Cechuje go głębokie, szczere uczucie patryotyczne, któremu odpowiada forma prawdziwie poetycka. Te same zalety ma późniejszy utwór Parviego „Marsz, marsz Dąbrowski" i „Rok 1794" („Berek Joselowicz"), oba utwory grane w krakowskim teatrze ludowym za dyrekcyi p. Rygiera, z dużem i rzetelnem powodzeniem.

Poza dramatami historyczno-politycznymi, napisał ś. p. Parvi kilka sztuk obyczajowych, współczesnych. Z tych największy sukces na scenie ludowej odniosły „Knajpa" i „Dwa psy", gdyż odznaczały się zacięciem scenicznem, sporą dozą humoru, a nadto tendencyę miały na wskróś uczciwą.

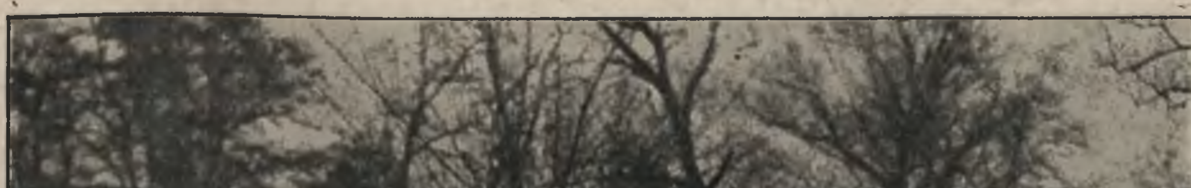
Ś. p. Parvi kochał dramat i kochał teatr, w którym spędzał bardzo wiele chwil, dzierżąc dział sprawozdawcy z teatru ludowego w *Nowej Reformie*. Towarzyski i uprzejmy, usposobienia nadzwyczaj łagodnego, umiał sobie zaskarbić serca wszystkich tych, z którymi się stykał.

To też wieść o jego niespodziewanej, przedwczesnej śmierci — ś. p. Parvi liczył zaledwie 41 lat życia — wywołała ogólny i serdeczny żal.

Cześć jego pamięci!



Sporty zimowe w Warszawie: Trening w piłce nożnej footbalistów „Koła sportowego" na Agrykoli.



Sporty zimowe w Warszawie: Ćwiczenia narciarzy w „Kole sportowem" na Agrykoli.

Obłąkany władca.

(Do illustracyi na str. 4).

Po ostatniej katastrofie z pałacem Cziragan w Konstantynopolu opinia publiczna poczęła głośno i otwarcie wskazywać na eksułtana Abdul Hamida jako moralnego sprawcę pożaru pałacu parlamentu tureckiego. Liczne aresztowania, przedsięwzięte przez policyę, dostarczyły materyału dowodowego o tyle, że zdołano stwierdzić fakt, iż do wybuchu pożaru przyczynili się reakcyoniści tureccy, którzy do dziś nie mogą się wyzbyć myśli o przywróceniu dawnego rządu w Turcyi.

W Salonikach, gdzie osadzony został po zdetronizowaniu Abdul-Hamid, natrafiono na ślad tajnej korespondencyi, którą prowadził koronowany więzień stanu. Dla Młodoturków, pragnących w dobie obecnej utrwalenia nowych rządów w Turcyi, zamieszanie, jakie wywołał w całem społeczeństwie pożar pałacu Cziragan, i jakie wywoływały ustawiczne knowania zwolenników dawnego sułtana, groziło nowemi niebezpieczeństwami i nowem zawikłaniem stosunków wewnątrz kraju i po ostatnim akcie zemsty kół reakcyjnych, dokonanej na pałacu parlamentu tureckiego, postanowiono odebrać więźniowi salonickiemu, jako przypuszczalnemu moralnemu sprawcy tego czynu, nawet tę odrobinę wolności, jaką mu pozostawiono po jego detronizacyi.

Zaczęły się też dla Abdul-Hamida czasy straszne. Jeśli przedtem czuł się tylko zdetronizowanym władcą, to obecnie stał się więźniem w całej rozciągłości tego słowa. On, przyzwyczajony do absolutnego dyktowania rozkazów, on, pan i władca nie tylko całej Turcyi, ale i wszystkich dusz, dziś słuchać musi komendanta pilnującego go straży, liczyć się musi z każdym swym krokiem, bo zewsząd podglądają go ciekawe oczy, bo zewsząd nadsłuchują go przydzieleni doń dozorcy. Nic więc dziwnego, że w tym zdetronizowanym sułtanie począł budzić się bunt, który stargał mu duszę, nerwy i siły, bo więzień ujrzał się nagle bezsilnym wobec nowego porządku rzeczy.

Choroba nerwów zwaliła Abdul-Hamida z nóg, a ustawiczna samotność i pustka doprowadziła go do szału, o którego początkach jeszcze pod koniec ubiegłego roku donosiły luźne wieści, nadchodzące z Salonik. Dziś stało się publiczną tajemnicą, że więzień salonicki popadł w obłąkanie, przemieniające się od czasu do czasu w ostry szał.

Choroba zdetronizowanego sułtana, aczkolwiek ciężka, nie oddziaływa jednak na Młodoturków, którzy wiedzą, że ze śmiercią Abdul Hamida zginie także ostoja reakcyjnych knowań w Turcyi.

Kronika tygodniowa.

(Pierwszy tydzień wielkiego postu. — Zawiedzione nadzieje. — Stagnacya na rynku małżeńskim. — Wiedeń a Kraków. — Demonstracya sufrażystek we Lwowie i jej skutki. — A przecież kobiety mają wyższość! — Nie jestem wrogiem niewiast. — Syndykat kawalerski. — Nawet rząd opiekuje się płcią piękną. — Jakie korzyści mogą odnieść kobiety z rozdziału Krakowa od Galicyi i rekonstrukcyi austryackiego gabinetu? — Zachodnia Ukraina. — Tymko marszałkiem. — Nowe ministerstwo. — Kobiety w fotelach. — Co różni sądzą o rekonstrukcyi).

Pierwszy tydzień wielkiego postu, urozmaicony przez kometę, której z Krakowian dotąd nikt prawie nie widział, przeminął zupełnie spokojnie. Resztki popiołu, jakie zostały na naszych włosach i łysinach, przypominają nam znikomość tego świata, wspomnienia karnawałowe błąkają się wprawdzie jeszcze tu i ówdzie, giną jednak powoli w „zapomnienia fali“.

Najsmutniejsze refleksye budzą się w sercach dziewic, dla których i ten karnawał okazał się zbyt srogim i nie ziścił ich najskrytszych marzeń, za cenę których gotowe były wyrzec się nawet swych szczytnych ideałów, streszczających się w tezach równouprawnienia płci niewieściej z gnębiącą ją płcią brzydką. Tegoroczny karnawał, zwany pospolicie jarmarkiem małżeńskim, wykazał bardzo mały popyt, natomiast kolosalną podaż, nic też dziwnego, że w szeregach kandydatek do stanu małżeńskiego zapanowało niebywałe rozdrażnienie. Wiek i doświadczenie nauczyło mnie już nie dziwić się niczemu, nie dziwię się też owemu nerwowemu podnieceniu, które przez dni czterdzieści będzie miało sposobność dzięki postowi i umartwieniom uspokoić się jako tako. Co wpłynęło na ową stagnacyę na rynku małżeńskim, orzec niepodobna, w każdym razie za jedną z przyczyn przyjąć należy zanadto gwałtowne zajęcie się procesem Borowskiej, który tak zabsorbował czas i ducha płci nadobnej, iż zapomniała o wszystkiem innem, co z nim nie miało choćby minimalnej łączności. Zazdrość budzi powodzenie Wiedenek, gdyż tam w ostatnie trzy dni karnawału pobłogosławiono tysiąc pięćset szczęśliwie dobranych stadeł małżeńskich, gdy tymczasem Kraków w tym samym czasie nie może się wykazać nawet dziesiątą ich częścią.

Szeregi sufrażystek zwiększą się też w trójnasób (idąc za zdaniem p. Królińskiego), drżyj więc rodzaju męski. Kto wie, czy owa kometa nie zwiastuje twojej zguby, zwłaszcza odkąd ją niewiasty zaanektowały na swą niepodzielną własność.

Przyznać jednak musimy, że krakowskie przedstawicielki płci pięknej zniosły los swój z rezygnacyą, gdy tymczasem lwowskie ich przyjaciółki znalazły sposobność do pokazania swych ząbków i pazurków. Ruch emancypacyjny między Lwowiankami jest nieco starszy (o to się chyba panie nie obrażą, mówię bowiem nie o nich, lecz o ruchu), osobniki tamtejsze rodzaju męskiego są może mniej niż krakowskie dla płci pięknej wyrozumiałe, więc też mamy i powody, które tłómaczą, dlaczego lwowskie sufrażystki występują energiczniej i bardziej zawzięcie. Kraków nie posiada nadto tak wyszkolonych przewodniczek, któreby potrafiły pokierować sprawą.

Do wybuchu przyszło w ubiegłą niedzielę w lwowskim teatrze, gdzie wystawiono nową komedyę Królińskiego p. t. „Sufrażystki“. Gdy ze sceny rozległy się słowa: „w Anglii nie byłoby sufrażystek, gdyby były miały sposobność wyjścia za mąż i zakosztowania słodyczy małżeńskich...“ odezwały się z krzeseł, lóż i galeryi krzyki, piski i sykania, tu i ówdzie zaś odosobnione brawa i oklaski. W okazywaniu objawów niezadowolenia wzięły jednak udział nie tylko sufrażystki stanu wolnego, lecz także i ich zamężne zwolenniczki, które choć w ten sposób chciały im okazać swe współczucie. Demonstracye powtórzyły się kilkakrotnie z coraz to mniejszem nasileniem, sztuka dobiegła bez przeszkody do końca. Interweniowała nawet policya, a jeden z komisarzy odniósł podobno podrapania oblicza i dziś, pokazując swe rany, opowiada przyjaciołom, że są to ślady „robót ręcznych kobiecych“. Na nieszczęście dla płci pięknej, był to kawaler, który przysiągł sobie wobec tego, że raczej w świętym stanie kawalerskim spędzi resztę dni swego żywota, niż miałby ugiąć karku w jarzmo małżeńskie, w którem częściej byłby narażony na podobne przyjemności.

Oj! te kobiety, kobiety! powiada każdy z mężczyzn, oj! mężczyźni! mężczyźni! — wzdycha z utęsknieniem każda przedstawicielka niewieściego rodzaju, narzekając na ich nieczułość i kamienne serce!

A przecież kobiety nie są tak upośledzone na świecie, jak na to narzekają! Już ta okoliczność, iż mają liczebną nad nami przewagę, przemawia na ich korzyść i tłómaczy poniekąd, że nie każda z nich może się dostać do tak upragnionego raju małżeńskiego, gdyż prawa tureckie, dozwalające mieć po kilka żon, u nas dotąd nie obowiązują. Pierwszeństwo rodzajowi męskiemu przyznała zresztą nawet gramatyka i to od najdawniejszych czasów, a nawet p. Kryński, choć poniekąd zrównoważył wszystkie trzy rodzaje co do niektórych końcówek, przecież rodzajowi męskiemu pozostawił pierwsze miejsce.

Niech mnie przypadkiem niewiasty nie posądzą, że jestem ich wrogiem! Broń mnie Boże od tego! Każdej bardzo chętnie przychyliłbym nieba i wszystkim razem i każdej z osobna życzę, by jak najprędzej przywdziały czepiec małżeński. Choć, prawdę powiedziawszy, przyznam się do dwu głupstw kardynalnych, jakie w życiu popełniłem. Pierwszem z nich to moje urodzenie, drugiem wstąpienie w związek małżeński. Co do pierwszego, osobiście w niem nie zawiniłem ani krzty, co do drugiego zaś, przyznać się muszę, że popełniłem głupstwo, uniósłszy się zbytnią miękkością serca wobec płci pięknej, za co też od lat dwudziestu kilku pokutuję i stanowczo twierdzę, że gdyby rodzaj żeński uzyskał równouprawnienie z męskim, tylko my, uciemiężeni małżonkowie, wyszlibyśmy na tem dobrze. Kawalerowie, którzy czują powołanie do stanu małżeńskiego, powinni zawiązać syndykat, któryby zajął się obroną ich praw i przywilejów i dążył rzeczywiście do równouprawnienia obu pierwszych rodzajów t. j. męskiego i żeńskiego, gdyż nijaki, t. j. młodzież niżej lat czternastu, myśli ciągle o sobie i wszelkiemi siłami stara się, aby nadawać ton społeczeństwu. Kto chce mieć spokój domowy, niech się dobrze zastanowi, czy ma życie pędzić samotnie, czy też sięgnąć po wieniec małżeński, refleksya przychodzi bowiem zwykle późno, gdy klamka już zapadła! A o rozwody u nas tak trudno!

W interesie bezżennych sufrażystek występują nawet władze państwowe, a pan minister Biliński, autor starokawalerskiego podatku, mającego zachęcić mężczyzn do wstępowania w związki małżeńskie, powinien sobie zjednać dozgonną ich wdzięczność. A o nas, biednych mężczyzn, nikt się nie troszczy a przecież niewiasty zazdroszczą nam naszego losu!

Można się jednak spodziewać, że z biegiem czasu zrobi się dziurę w betonie (czytaj: bytowaniu) społeczeństwa i przy spodziewanych ciągle rekonstrukcyach władz rządowych i autonomicznych okroi się coś i dla niewiast, które w ten sposób znajdą się u szczytu swych marzeń, osiągnąwszy nareszcie to, do czego tak wzdychały. Mam tu na myśli rozdział Galicyi i Krakowa według ruskiego projektu i rekonstrukcyę austryackiego gabinetu. Pierwszy, t. j. rozdział Galicyi od polskiego Wielkiego księstwa Krakowskiego, musiałby pociągnąć utworzenie nowych władz rządowych i autonomicznych, przyczem niewiasty, gdyby się energicznie zabrały do dzieła, mogłyby zyskać kilka posterunków. Dziwi się naród wszelaki, skąd Rusini nabrali apetytu na całą Galicyę, gdy dotąd kontentowali się tylko kawałkiem po San, dla mnie jednak jest to łatwo zrozumiałem, miałem bowiem już raz sposobność oglądania podręczników historyi i geografii ukraińskiej, wydanych przez jednego z lwowskich „uczonych“, gdzie „Zachodnia Ukraina“ sięga nie tylko po San, ale hen daleko poza Nowy Sącz na zachód. Każdemu uczonemu wolno wymyślać nazwy, jakie mu przyjdą na myśl, więc też łatwo możnaby wytłómaczyć, gdyby inny znów uczony nazwał n. p. Francyę „zachodnią Macedonią“, a kraj Zulusów i Kafrów, gdzie ludność obchodzi się bez wszelakiego odzienia, „poludniową Portugalią“.

Zachodnia Ukraina, z siedzibą atamana we Lwowie, miałaby tamże i swój ukraiński „sojm“, którego marszałkiem zostałby stanowczo nikt inny, tylko Tymko Staruch, chyba, gdyby objął posadę wiceprezydenta ukraińskiej „Rady szkilnoi“. Popadje i popadjanki zuane są z energii, przy wyborach do sejmu miałyby więc znaczną większość i urzeczywistniłyby marzenia sufrażystek, by kobiety ujęły raz w rękę ster rządów kraju i państwa.

Gorzej byłoby z losem niewiast w Księstwie Krakowskiem, tutaj bowiem konserwatyzm tak silne zapuścił korzenie, że niema i nadziei, by kobiety prędko dostały się do rządów.

Przy spodziewanej rekonstrukcyi gabinetu austryackiego także może się płci pięknej coś okroić. Dotąd Austrya jest w tem szczęśliwem położeniu, że posiada pechowatą liczbę trzynastu członków ministerstwa z tekami i bez tek. Obecnie namyślają się nasi politycy, czyby nie utworzyć jeszcze dwu foteli ministeryalnych t. j. dla poczty i przemysłu, a nawet i trzeciego dla rękodzieła. Rozszerzyłaby się wówczas ława ministeryalna na szesnaście sztuk, a akurat w Izbie poselskiej jest tyle miejsca. Przy tej sposobności mogłyby się wkręcić i niewiasty, których przedstawicielka bardzo odpowiednią byłaby n. p. na ministra skarbu, jak bowiem wiadomo, niewiasty odznaczają się cnotą oszczędności, któraby austryackiemu budżetowi tak by się przydała.

Prócz kreowania nowych ministerstw, nastać mają pewne zmiany w obsadzie dotychczasowych. Idzie głównie o usunięcie niemieckiego ministra rodaka dra Schreinera, który zalazł Czechom za skórę. I to miejsce mogłaby zająć jakaś wygadana, a rezolutna sufrażystka, która potrafiłaby prowadzić dalej zaczęte przezeń dzieło, t. j. prowokatorską agitacyę pomiędzy czeskimi Niemcami. Kobiety, zwłaszcza gdyby jeszcze była przystojna, chętniej słuchałby każdy, więc i efekt jej działalności byłby wspanialszy, niż najbardziej nawet energicznego szowinisty rodzaju męskiego.

Spełnienie więc życzeń sufrażystek bardzo jest możliwe, zwłaszcza że już 24 lutego zbiera się sesya Rady państwa, prawdopodobnie ostatnia przed spodziewanym końcem świata. Biedny Bienerth poci się, konferując z przywódcami stronnictw nad programem prac parlamentarnych i lepiąc większość, bez której obejść się nie można. Utworzenie jej powinno być poprzedzone przez rekonstrukcyę gabinetu. Liberalne stronnictwa niemieckie są przeciwne gruntownej rekonstrukcyi w duchu parlamentaryzm, bo świadome są tego, że wówczas utracą swą przewagę w gabinecie, a w żaden sposób nie mogą przecież na to pozwolić, by w sprzymierzonej z Berlinem Austryi miały rej wodzić jakieś mniej radykalne stronnictwa.

Że zaś przewaga niemiecka ciągle w Austryi daje się nam we znaki, widzimy to na stosunkach czeskich, gdzie Niemcy wszelkiemi siłami paraliżują czynności sejmu, który dzięki im, musiał być zaraz po otwarciu odroczonym. We Wiedniu mogą zanadto dokazywać, obostrzony bowiem regulamin obrad Izby poselskiej paraliżuje ich zakusy.

Unia słowiańska, która coraz bardziej wybija się, skłania się także do popierania programu prac, ale pod warunkiem gruntownej rekonstrukcyi gabinetu. Gdyby usiłowania Bienertha pozyskania Unii do parlamentarnej pracy rozbiły się, nie pozostanie klubom słowiańskim nic innego, jak rozpocząć ponownie najostrzejszej opozycyi, przyczem oświadczają, że w gabinecie nie przyjmą żadnej reprezentacyi, nawet gdyby tekę i fotel ofiarowano ich przyjacielowi, posłowi Stapińskiemu.

Czy więc uda się kobietom dostać do ciał prawodawczych i na fotele ministeryalne, czy nie, w każdym razie możemy się spodziewać już w krótkim czasie rekonstrukcyi gabinetu, na którą oczekuje niecierpliwie kilkunastu kandydatów na ministrów i z przyjemnością skonstatować, że większa część stronnictw oświadcza gotowość do wydatnej pracy, a i to, na ciężkie czasy coś przecież znaczy...

Starajmy się w każdym razie, aby żony i córki nasze osiągnęły to, do czego wzdychają, to i współudział w rządach, a choć wówczas polity nasza zejdzie na psy, będziemy mieć przynajmniej spokój w domu, do czego od dawna tak wzdychamy!

X.

Choroba króla szwedzkiego.

Naród szwedzki był przez szereg dni poważnie zaniepokojony wiadomościami o złym stanie zdrowia króla Gustawa V. Zaniemógł on ciężko na zapalenie ślepej kiszki, która to choroba należy do groźnych i niebezpiecznych. Usilne starania lekarzy atoli zdołały niebezpieczeństwo usunąć przez operacyę, której król poddał się z zupełnym spokojem.

Wiadomość o polepszeniu się stanu zdrowia Gustawa V. przyjęta została w Szwecyi z ogólną radością. Młody król bowiem cieszy się wśród swych poddanych wielką miłością i popularnością, jako monarcha dzielny, energiczny i sprawom ojczyzny szczerze oddany.

Rządy nad krajem objął przed dwoma laty, po śmierci ojca, króla Oskara II. Odziedziczył rządy w państwie, uszczuplonem w ostatnich latach panowania Oskara II. przez oddzielenie się Norwegii od Szwecyi, do niedawna złączonej z nią unią personalną. Z tem większą też gorliwością i poświęceniem mógł się oddać rządom kraju, którego ludność też otacza go wielkiem przywiązaniem.

W rocznicę zamachu na cesarza.

Stolica monarchii austryacko-węgierskiej należy do miast, które słusznie zaliczane są do najwspanialszych na świecie. Państwo i gmina nie żałuje pieniędzy, aby Wiedeń utrzymać na wysokości pierwszorzędnej stolicy, mogącej się poszczycić szeregiem okazałych budowli. Niezwykle wiele zawdzięcza stolica naddunajska cesarzowi Franciszkowi Józefowi, który ze swej prywatnej szkatuły ufundował wiele gmachów i pomników, upiększających dziś Wiedeń.

Do najwspanialszych fundacyi cesarza należy kościół Zbawiciela, zwany powszechnie „Votiv-Kirche“. Jest to jeden z najpiękniejszych kościołów nowoczesnych, wybudowanych w stylu gotyckim według projektów architekta Ferstla. Fundacya tego tumu gotyckiego związana jest z ocaleniem monarchy podczas zamachu, wykonanego nań 18 lutego 1853 roku przez czeladnika krawieckiego Jana Libenyi'ego. Na pamiątkę tego ocalenia wybudował monarcha na miejscu, gdzie zamach wykonano, kościół Zbawiciela, którego budowę rozpoczęto w r. 1856 a ukończono dopiero w r. 1879.

Mimo solidnej budowy przed paru dniami poczęły spadać ornamenty, umieszczone ponad głównem wejściem. Tak monarcha jak i cała ludność stolicy zaniepokoiła się szybkiem zniszczeniem kamienia, z którego ornamenty wykuto, a dla bezpieczeństwa publiczności ustawiono koło kościoła dach, mający chronić przechodniów przed spadającymi odłamkami.

Prawie równocześnie z rocznicą zamachu na cesarza umarła przed paru dniami Marya Tropsch, jedyny świadek owego zamachu. Pani Tropsch w owym dniu, widząc monarchę w niebezpieczeństwie, pobiegła po policyę, która aresztowała sprawcę.

Z polecenia cesarza w pogrzebie p. Tropsch wziął udział zastępca sędziwego monarchy.

Koncert na czytelnie kresowe T. S. L.

W powodzi koncertów bieżącego sezonu zwraca na siebie uwagę jeden, który zarówno ze względu na swój cel, jak i biorące w nim udział siły potyka się z powszechną sympatyą i zainteresowaniem. To koncert na rzecz czytelń kresowych T. S. L., który odbędzie się w niedzielę 20 b. m. w wielkiej sali „Sokoła“. Bialskie i chrzanowskie są to powiaty, zagrożone potężniejącą z dnia na dzień falą germanizacyi. Trzeba tam być, aby to spostrzedz. Uchronić je przed tem niebezpieczeństwem, ocalić przed wynarodowieniem przez zakładanie czytelń T. S. L. postawili sobie za cel inicyatorowie koncertu. Lecz w myśl zasady *utile dulci* postarano się, aby i sam program stanowił atrakcyę. Pozyskano łaskawy współudział najwybitniejszych sił naszego miasta.

Muzykę wokalną reprezentować będzie ceniona śpiewaczka p. Eleonora Wawnikiewicz-Tatarczuchowa, która po chlubnem ukończeniu konserwatoryum w Lipsku, dała się poznać w Niemczech i Anglii, jako substelna, pełna poczucia stylu wykonawczyni pieśni. Artystyczne piękno jej interpretacyi podnoszą powaby fizyczne postaci. Obok niej śpiewać będzie chór akademicki, który pod artystycznym kierunkiem p. Bolesława Wallek-Walewskiego wyrobił sobie w Krakowie markę najlepszego chóru męskiego.



W rocznicę zamachu na cesarza: Kościół Zbawiciela ufundowany przez cesarza na pamiątkę ocalenia podczas zamachu w dniu 18 lutego 1853 r.



W rocznicę zamachu na cesarza: Ś. p. Marya Tropschowa.



Koncert na czytelnie kresowe T. S. L.: Eleonora Wawnikiewicz-Tatarczuchowa.

W części instrumentalnej koncertu usłyszymy pianistkę p. Stanisławę Abłamowicz Meyerową, jedną z najlepszych uczennic prof. Lalewicza, znaną w Krakowie nauczycielkę muzyki, oraz p. Henryka Aptera, jednego z najpierwszych skrzypków w na-



Koncert na czytelnie kresowe T. S. L.: Wanda Jarszewska, artystka dramatyczna.

szem mieście, młodego artystę, piękne rokującego nadzieje. Akompaniament objęli pp. dr. Zdzisław Jachimecki i Bronisław Poźniak.

Miłem urozmaiceniem programu będzie deklamacya p. Wandy Jarszewskiej, artystki teatru miejskiego im. Słowackiego. Młoda ta artystka, znana dotychczas jedynie z desek teatralnych, potrafiła w krótkim stosunkowo czasie talentem swym oraz niezwykłym wdziękiem i urodą pozyskać sympatyę Krakowa. To też z tem większem zainteresowaniem oczekiwany jest jej pierwszy występ na estradzie koncertowej w podwawelskim grodzie.

Jak z powyższego widać i cel i program sprawiły, że bilety na koncert czytelń kresowych T. S. L. — nb. bardzo tanie — są już w znacznej części rozsprzedane.

Obok podajemy podobizny p. E. Wawnikiewicz Tatarczuchowej, p. St. Abłamowicz-Meyerowej i p. W. Jarszewskiej.

Kurs samorodnego spajania metali.

Samorodne spajanie metali ma już za granicą powszechne zastosowanie, u nas go dotąd nie wprowadzono, jakkolwiek z powodu swej doskonałości zajmuje w przemyśle metalurgicznym pierwsze miejsce. Polega ono na tem, że przez zmieszanie w specyalnych aparatach tlenu i gazu acetylenowego dochodzi się do temperatury 3000° C, w której to temperaturze stają się metale bardzo łatwo spójne. Jest to jeden z najlepszych i najtańszych sposobów.

Pierwszą próbę wprowadzenia i w naszym kraju tej gałęzi przemysłu i techniki, był kurs, urządzony w ostatnich dniach we Lwowie, staraniem pp. Wiesenberga i H. Towarnickiego. Obaj oni zaznajomili się z tym sposobem spajania metali za granicą, a oceniwszy jego wartość i korzyści, poczynili następnie zabiegi celem osiągnięcia zezwolenia na otwarcie fachowego kursu. Uzyskawszy je, sprowadzili odpowiednie przyrządy i wyszkolonych pod tym względem „szwajserów" i ślusarzy, gdy równocześnie dyrekcya Instytutu technologicznego rozpisała konkurs na odbycie kursu.

Wkrótce zgłosiło się około 50 uczestników, przeważnie kierowników warstatów i właścicieli większych pracowni mechanicznych, z których w pierwszym kursie wzięło udział 15-tu. Kurs zakończył się 12 b. m., zaś w niedzielę odbyła się wystawa prac, w czasie której uczestnicy kursu demonstrowali obecnym sposób spajania metali.

Na wystawę przybyli: radca dworu Franke, prezydent miasta Ciuchciński, dyrektorowie elektrowni i gazowni miejskiej, rektor politechniki Pawlewski, sekretarz Izby handlowej dr. Stesłowicz i w. i.

Wystawa i sposób spajania metali wzbudziła w obecnych wielkie zainteresowanie, to też nie szczędzono pochwał i uznania inicyatorom i kierownikom kursu.

W końcu podnieść należy z uznaniem zasługi dr. Obmińskiego, dyrektora Instytutu technologicznego, dzięki któremu kurs znalazł dogodne pomieszczenie i bezpłatnie wszystkie materyały, jakich przy nauce użyto.

Wkrótce odbędzie się drugi kurs dla dalszej liczby zgłoszonych, wobec czego należy się spodziewać, iż nowy system przyjmie się wnet wśród warstatów, a przez to przyczyni się do podniesienia się tego, tak mało rozwiniętego u nas przemysłu.

Sporty zimowe w Warszawie.

Ruch sportowy, wspaniale rozwinięty w zachodniej Europie, powoli przenosi się i do nas i należy przyznać, że w Polsce nie brak zrozumienia dla znaczenia ruchu sportowego w naszem życiu fizycznem i narodowem.

Galicya może się poszczycić tem, że dała impuls Królestwu w kierunku rozbudzenia zamiłowania do ćwiczeń i gier sportowych, Królestwo polskie zaś zdołało odrazu ruchowi sportowemu nadać formę racyonalnej organizacyi, powołując do życia w Warszawie „Koło sportowe", które już w pierwszym roku swego istnienia zdołało stworzyć nowoczesny plac sportowy, na którym koncentruje się całe życie fizyczne Warszawy. Pod tym względem Warszawa może być dumną, iż przeszła nawet Kraków, gdzie młodzież i organizacye sportowe do dziś jeszcze daremnie kołatają u gminy o plac pod boiska sportowe.

Przed zimą „Koło sportowe" porobiło przygotowania do zainicyowania na szeroką skalę sezonu sportów zimowych w Warszawie. Nie spodziewano się, że tegoroczna zima będzie tak kapryśną i tak niepewną i że wszelkie projekty skończą się fiaskiem. Największe mrozy dochodziły dotychczas w Warszawie zaledwie do 4° R, a śniegu spadło zaledwie na parę cali. „Koło sportowe", które chciało zaprezentować Warszawie sport saneczkowy, wyłożyło przeszło 12 tysięcy rubli na budowę toru, którego z powodu braku śniegu nawet dotychczas utworzyć nie było można.

Ślizgawka również ledwie że wegetowała przez dni parę, a ruchliwi łyżwiarze warszawscy tego roku musieli wyrzec się urządzenia corocznych zawodów, ściągających zazwyczaj najlepszych łyżwiarzy z całej Europy.

Jedynie „narty" można spotkać tu i ówdzie, bo narciarz korzysta z odrobiny śniegu i swe „łyżwice" z za pieca wyciąga. Zamiast saneczek, łyżew i nart sportsmani warszawscy zabrali się do piłki nożnej



Koncert na czytelnie kresowe T. S. L.: Stanisława Abłamowicz-Meyerowa, pianistka.

i pocieszają się jak mogą „nożną", a dodać należy, że *football* uprawiany jest w Warszawie dziś nie z mniejszą namiętnością jak w Krakowie i Lwowie.

Afera szpiegowska w Krakowie.

W ostatnich miesiącach wykryła policya krakowska cały szereg wypadków szpiegostwa na rzecz sąsiednich mocarstw, a jedną z najpoważniejszych afer tego rodzaju rozstrzygał właśnie w ubiegłych dniach trybunał karny krakowski.

Pod zarzutem zbrodni szpiegostwa zasiedli na



Kurs samorodnego spajania metali: Uczestnicy kursu podczas nauki w instytucie technologicznym we Lwowie.

ławie oskarżonych trzej młodzi ludzie: Czesław Dekiert, Maryan Kozłowski i Władysław Bakalarczyk. Prokuratorya państwa wygotowała w tej sprawie obszerny bardzo i szczegółowy akt oskarżenia. Dowiadujemy się stamtąd, iż Dekiert, pochodzący z Poznania, zaczął tam uczęszczać do gimnazyum św. Magdaleny, skąd go jednak wydalono, poczem kręcił się przez trzy lata po Niemczech, był też przez kilka miesięcy w Ameryce, pracując raz jako dziennikarz, to znów jako dyetaryusz w prywatnych



Afera szpiegowska w Krakowie: Czesław Dekiert.

przedsiębiorstwach. Już w jesieni 1906 r. ofiarowywał się Dekiert bardzo natarczywie „Straży poznańskiej“ z usługami szpiegowskiemi, propozycye jego jednak odrzucono. W Krakowie wypłynął Dekiert 1908 r. i zaczął tu zaraz swoją działalność szpiegowską, czego dowodzą znalezione przy rewizyi w jego mieszkaniu zapiski. Wynika z nich, że Dekiert uprawiał szpiegostwo polityczne i wojskowe.

W czasie pobytu w Krakowie próbował Dekiert wcisnąć się do tutejszych towarzystw młodzieży, wędrował też po rozmaitych redakcyach, ofiarowując im swe współpracownictwo jako dziennikarz. Usług jego jednak nigdzie nie przyjęto. Mimo to Dekiert pieniądze miał zawsze, zarabiając je widocznie w inny sposób.

Że uprawiał on szpiegostwo wojskowe, dowodzą zdjęcia fotograficzne, przy nim znalezione, a odnoszące się do fortów krakowskich.

Aresztowany w ubiegłym roku przez policyę przyznał się w śledztwie do zbrodni i podał dość szczegółowy obraz swej działalności.

Jako tego, który go do szpiegostwa namówił, i który stosunki mu ułatwił, wskazał Maryana Kozłowskiego, urodzonego w Częstochowie, w Krakowie bez określonego zajęcia przebywającego. Kozłowski zaprzecza temu, śledztwo jednak wykazało, że był on istotnie szpiegiem, a z Królestwa Pol-



Afera szpiegowska w Krakowie: Maryan Kozłowski.

skiego zbiegł, unikając śmierci z rąk towarzyszów partyjnych, którzy przekonali się o jego zdradzie jeszcze w tym czasie, kiedy był członkiem organizacyi narodowo-robotniczej.

Rola Bakalarczyka w tej sprawie była mniejsza. Młody ten chłopak, również z Poznańskiego pochodzący, fryzyer z zawodu, pośredniczył w odbieraniu przesyłek dla Dekierta i wiedział o jego sprawkach, nie doniósł jednak o tem władzom. Za to też obecnie odpowiadał.

Proces przeciw wszystkim trzem rozpoczął się w ubiegłą sobotę przed orzekającym trybunałem pod przewodnictwem starszego radcy dra Jasiewicza.

Dekiert, podobnie jak w śledztwie, przyznał się i w czasie rozprawy do większej części zarzuconych mu czynów, dzieląc się jednak winą z Kozłowskim, którego wskazuje jako sprawcę wszystkiego. Ten znowu wypiera się winy i spycha ją na Dekierta.

Rozprawa wzbudziła wielkie zainteresowanie, główny bowiem jej bohater, Dekiert, znany był wśród młodzieży, do której kół usiłował się wkręcić, aby następnie je denuncyować.



Samobójstwo kabarecistki: Ś. p. Joanna Brokszówna (Alma Andersen).

Pogłoski dyplomatyczne.

Jedną z bardzo dawnych instytucyi dyplomatycznych jest nuncyatura papieska. Pełnomocników tych wysyłali papieże od końca XVI. w. do dworów zarówno katolickich jak niekatolickich, a to głównie dla stawienia tamy silnie podówczas wzmagającemu się prądowi protestanckiemu.

Pierwotnie ustanowiła kurya rzymska cztery nuncyatury: w Wiedniu, Kolonii, Lucernie i Brukseli. Poprzednio już, bo w r. 1556, ustanowiono stałą nuncyaturę w Polsce.

Każdorazowy nuncyusz w danem państwie był w swym okręgu najwyższym sędzią duchownym i wykonywał tam prawa metropolity w imieniu papieża. Z tego powodu też przychodziło niejednokrotnie do zatargów między nimi a biskupami, którzy domagali się ograniczenia praw nuncyuszy.

Z czasem też charakter nuncyatury uległ pewnej zmianie. Stała się ona instytucyą dyplomatyczną, pośredniczącą między Watykanem a danem państwem. Nuncyatury są obecnie w Wiedniu, Monachium, Paryżu, Madrycie i Lizbonie.

Nuncyuszem papieskim w Wiedniu jest obecnie msgr. Granito di Belmonte, stanowisko to jednak ma on w najbliższym czasie opuścić. Pogłoski na ten temat krążą już od dłuższego czasu, mianowicie od pamiętnej afery profesora Wahrmunda, kiedy to nuncyusz zaprotestował przeciw wykładom tego profesora, narażając sobie przez to sfery liberalne w Austryi. Chodziło jednak o to, by ustąpienie nuncyusza Granito di Belmonte z Wiednia nie nastąpiło bezpośrednio po aferze Wahrmunda, aby je upozorować innemi przyczynami.

Kto będzie następcą obecnego nuncyusza, dotąd nie wiadomo.

Echa olbrzymiego sprzeniewierzenia.

W sprawie głośnego sprzeniewierzenia na kolejach Nadwiślańskich, o czem pisaliśmy w zeszłym



Afera szpiegowska w Krakowie: Władysław Bakalarczyk.

numerze *Nowości illustrowanych*, aresztowano wspólnika nadużycia, Zacharowa, również „artelszczyka“ kolei nadwiślańskich.

Zacharow, jako członek „Moskiewskiego Związku roboczego“ (arteli) pracował na kolejach Nadwiślańskich jako płatnik, pobierając skromną pensyę 75 rbs. miesięcznie. Ponieważ wynagrodzenie to nie wystarczało na jego potrzeby, puścił się na spekulacye ogromnemi sumami kolejowemi, które na mocy poręczenia „Związku“ miał w ręku.

Pożyczał więc urzędnikom kolei na lichwę, potrącając w wypłacie pensyi walutę i procenty, grał w totalizatora, potem w karty...

Nadzieje jednak zawiodły Zacharowa: na wyścigach przegrał, w karty też, dłużnicy zarwali go na kilkanaście tysięcy rubli. Widząc ruinę, skorzystał z chwili, gdy mu powierzono na wypłaty kilkanaście tysięcy rbs. i z pieniądzmi temi zbiegł. Rychło go jednak policya warszawska aresztowała i osadziła pod kluczem.



Echa olbrzymiego sprzeniewierzenia: „Artelszczyk“ Zacharow.

wspólnicy Zacharowa, a sprawcy defraudacyi na przeszło 50 tysięcy rbs., nie zostali dotychczas odszukani.

Samobójstwo kabarecistki.

W Warszawie rozegrał się w ubiegłym tygodniu bardzo tragiczny epilog dramatu miłosnego. Ofiarą jego była młoda, 21-letnia, bardzo piękna i sympatyczna szansonistka, która występowała w jednym z tamtejszych tinglów w trupie tanecznej „Jean-Jou", pod przybranem, egzotycznem nazwiskiem Almy Andersen, choć była Polką, z Wilna rodem i nazywała się Joanna Brokszówna.

Brokszównę łączył od dłuższego czasu stosunek miłosny z pewnym młodym człowiekiem. I rzecz dziwna. Ta dziewczyna, która w swych wędrówkach „artystycznych" zbliżała się do wielu bardzo mężczyzn, do której przystęp był tak łatwy i prosty, pokochała go szczerze i naprawdę. Jak gorące było uczucie Brokszówny, dowodzi już ta okoliczność, że gdy wielbiciel jej ochłódł w swych zapałach ku niej, i zwrócił się do jej koleżanki, Brokszówna nie mogła tego przeżyć i wolała zakończyć życie samobójstwem, niż patrzeć na zdradę kochanka a szczęście rywalki.

Postanowiła więc otruć się. Przygotowała sporą dawkę kwasu karbolowego, odurzyła się następnie alkoholem, a potem wypiła truciznę. Skutek nie zawiódł i po kilku godzinach młoda dziewczyna zakończyła życie wśród ciężkich bardzo mąk.

Portret jej zamieszczamy w dzisiejszem numerze.

Fabrykanci pieniędzy.

Noe Kopf z Dołżki false Salomon Silber z Nowego Yorku, Selig Leib Langer z Bolechowa i Mojżesz Kwartler ze Stanisławowa, zostali aresztowani w Stryju pod zarzutem zbrodni oszustwa, popełnionej w ten sposób, że będąc w porozumieniu, podstępnie przedstawiali, jakoby drogą elektrotechniczną mogli sporządzać odbitki fotograficzne banknotów 1000 koronowych, do prawdziwych łudząco podobne i w ten sposób wprowadzili w błąd różne osoby.



Selig Leib Langer. Noe Kopf. Moses Kwartler.

Mianowicie brali oni prawdziwe takie banknoty od łatwowiernych osób, aby rzekomo z tych banknotów robić odbitki bądź dla siebie, bądź dla osób trzecich, maczali je w różnych płynach i farbach, kładli je po owinięciu w kolorowy papier do walizki z ruchomym dnem, opatrzonej lampką elektryczną i dzwonkiem, a następnie z walizki wyjmowali inny podobny papier ze świstkami białego papieru i dawali je do drewnianej, zaśrubowanej prasy, którą wręczali właścicielom banknotów, zapewniając, że za kilka dni jeden z nich zjawi się u nich, wyda prawdziwe banknoty, a odbitki zabierze.

Tymczasem z prawdziwymi banknotami, czasem nawet w znacznej ilości, ulatniali się, a poszkodowani, w przeważnej części obawiając się odpowiedzialności karnosądowej, milczeli. Szkoda w ten sposób wyrządzona, bądź zamierzona, wynosi dotąd około 40 000 koron.

Na wniosek Brokuratoryi Państwa w Stryju ogłasza się niniejszem, że w ten sposób poszkodowani nie potrzebują obawiać się odpowiedzialności karno-sądowej i wzywa się wszystkich poszkodowanych, aby swoją szkodę w sądzie w Stryju zgłosili.

C. k. sąd obwodowy O. VII. Stryj, dnia 14 lutego 1910.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. W. Nowacki, Chmielów: Postaramy się wprowadzić w życie proponowaną przez WPana zmianę.

WP. F. Czarnecki, Łyntupy: Kwit nie potrzebny. Po początek powieści należy się zgłosić do biura Ungra w Warszawie, gdzie znajduje się nasze główne zastępstwo na Krolestwo Polskie i Rosyę.

WP. K. S. Ciężkowice: Nadesłano i wyżej tysiąca, część jednak ulega skreśleniu, jako nie odpowiadająca warunkom konkursu.

WP. K. Fuchs, Czeremchów: Wysłane.

WP. St. Łękawski, Warszawa: Otrzymaliśmy. Po brakujący numer prosimy zwrócić się do biura Ungra w Warszawie.

WP. ZD. i ZM. Warszawa: Umieścimy

WP. J. Karasiński, Lwów: Rebus jest ładny, lecz zanadto trudny Znaleźliśmy w nim jeden błąd

WP. M. Berson Eperjes, Węgry: W sprawie prenumeraty Tygodnika illustrowanego wraz z premiami zechce się WPan zwrócić wprost do Redakcyi, której filia znajduje się w Krakowie w księgarni G. Gebethnera i Spolki, Rynek główny.

WP W. Piotrowska, Dąbrowa Górnicza: Rozwiązanie z daty 27. stycznia otrzymaliśmy bez kuponu, wobec tego jest nieważne.

Głosy publiczne.

„**Chromofotoskop**" przy ul. Floryańskiej L. 4. (parter) wystawia dwie po sobie następujące nowe serye nader interesujących i pięknych widoków odbytej wycieczki do „Olbrzymich gór" czyli „Karkonoszy", rozciągających się swem pasmem na granicy Czech i Szląska. Góry owe powstałe z granitu przebitego skałami wulkanicznego pochodzenia, obfitują w piękne i dzikie krajobrazy. — Druga serya widoków przedstawi nam ruch towarzyski w różnych kąpielach morskich oraz wyspę „Helgoland."

We filii „Stereoglob" ul. Szewska L. 15 (parter) są wystawione również bardzo ciekawe widoki ruchu w mieście „Chicago" zwanego „Stolicą Polaków w Ameryce" oraz Kanady, Kolumbii i t p. miejscowości półn. Ameryki.

Cyrk Edison: Atrakcyą programu od czwartku 18. bm. do piątku dnia 24. bm. będzie artystyczne zdjęcie p. t. „Wieniec laurowy i wieniec śmiertelny", dramat z życia robotnika wielkomiejskiego. —

Na wzmiankę zasługuje też wspaniałe zdjęcie z natury p. t. „Polowanie na lamparty w połudn. Afryce."

Reszta programu składać się będzie przeważnie z obrazów o treści humorystycznej.

Rozwiązanie zagadek z Nr 6.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, A. Maciejowska Kołomyja, F. Gebhardt Kraków, O. Kuśnierski Kraków, W Osowski Warszawa, B Gromnicki Kołomyja, A. Biliński Tarnopol. F Schmidt Stanisławów, K. Zaleski Koło, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Łososina, K. Kaim Radziszów, J. Qraczewski Skawina, S Bukowski Nisko, J. Kolasińsk Petersburg, G. Głuchowska Radom, W. Ostrowski Sandomierz, K. Ogibiński Lipnica, M. Rowińska Lwów, D. Pomorska Rzeszów, J. Topolnicka Brześć, K. Radoszewski Rzeszów, B. Ciastoń Kraków, J. Leniek Lwów, M. Tarnawski Rogoźno, W. Lisowski Kraków, J. Silbermann Wadowice, J Obst Andrychów, M Krokowski Lisko, J. Kaufmann Gorlice, B Gadomska Podwołoczyska, M. Link Kołomyja, W. Łabuda Krosno, S. Zych Kraków, N. Młodnicki Kraków, A. Kiełczykowski, Glinnik Maryampolski, H. A. Krupecki Warszawa, Z. Ślepicki Lwów, M Szymańska Kraków, K. Bartoszewski Sanok, R Legeżyński Podwołoczyska, M. Ostrowska Podgórze, K. Gryziecka Chyrów, W. Gliwa Kraków, S Rosenbaum Rzeszów, W. Nazaraki Radom, S. Lewiński Krosno, L. Wąsowicz Lwów, G. Grochalska Staszów, K Roth Kraków, J. Pick Warszawa, M. Oszacki Kraków, W. Michalski Bochnia, W. Rabinowicz Kołomyja, M. Wyka Sambor, W. Lasocka Sambor, K. Krzyżanowski Kraków, S. Nikiel Zakopane, J. Lemański Warszawa, M. Krysakowski Rzeszów, J. Kapalska Rzeszów, W. Zachara Łódź, K. Agst Warszawa, S Karwowski Kraków L. Kamocki Rzeszów, M Nartowska Nowy Sącz, W. Zatorski Sandomierz, K Świrski Sandomierz, W. Rybak Rzeszów, J Jahoda Cieszyn, K. Kopf Berno, B. Michalec Kraków, S. Mazurkiewicz Kraków, F Urban Kraków, J. Stępień Kołomyja, S. Zaremba Kraków, J Horak Gródek, A. Aleksandrowicz Stary Sącz, K. Samlicki Mińsk, M. Sternschuss Tarnów,

Łamigłówka.

A n n a ł
C z a n y
N e r o n
C z u s t
P u s e y
B i z e t
T r e m y
D a w i d
M n i c h
J a c h t
K a z a ń

Szarada: Kołodzieje.

Łamigłówka: Polegaj na nim, jak na Zawiszy.

Kwadrat magiczny.

36	2	9	28	5	31
19	8	30	7	35	12
13	52	15	16	17	18
10	20	21	22	14	54
27	23	3	4	29	25
6	26	33	34	11	1

Zadanie krzyżowe.

M O F
a d i
M a t y l d a
O d y n i e c
F i l i p ó w
d e ó
a c w

Arytmograf.

G
I w o
A l i n a
M e l a n i a
J a z d a
U d o
P r a g a
s
S z y b a
L i z b o n a
P r z e k a z
M a r k a
R y ś
i

Zadanie do przestawienia: Dał Bóg kupca, to djabeł faktora

Zadanie do przestawienia: Pokora niebiosa przebija.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Nartowska, Nowy Sącz.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

23 (Ciąg dalszy).

— Są to perły z mych kollekcyi — objaśniał Lupin. Wszystko to, co pan widział dotychczas, jest do sprzedania. Jedne rzeczy przybywają, drugie znikają. Cóż robić, taki już zawód! Tutaj jest sanktuaryum, wszystko święte. Nic pośledniego, wszystko najwytworniejsze, nieocenione. Popatrz, Izydorze, na te kosztowności, amulety chaldejskie, naszyjniki egipskie, branzolety celtyckie, łańcuchy arabskie... Patrz na te posążki, na tę Wenus grecką, na tego Apolla koryncklego... Spojrzyj na te Tanagry. Wszystkie prawdziwe. Poza tą witryną niema na świecie ani jednej prawdziwej, autentycznej. Co za rozkosz módz powiedzieć to sobie! Przypominasz sobie bandę Tomasza — moi ajenci, mówiąc nawiasem — która okradała kościoły na południu, masz tutaj zdobycz z Ambazac! Pamiętasz zapewne skandal w Luwrze z tyarą Saitapharnesa, sfabrykowaną przez nowoczesnego artystę... Widzisz tutaj jej oryginał!... Patrz, Izydorze, patrz na to cudo, najwyższe arcydzieło, „Jacondę“ Leonarda da Vinci. Padnij przed nią na kolana!

Nastało między nimi długie milczenie. Z dołu zbliżały się uderzenia. Dwoje, a najwyżej troje drzwi oddzielało ich od Ganimarda. W dali widać było czarny cień torpedowca i flotyllę krążących barek.

Młody uczeń zapytał:

— A skarb?

— Aha! to cię najwięcej interesuje. Wszystkie te ludzkie arcydzieła nie budzą w tobie takiej ciekawości, jak ten skarb... I wszyscy będą tak zaintrygowani jak i ty... Dobrze, zostaniesz zaspokojony.

Tupnął silnie nogą w kwadrat, w jakie była wyłożona podłoga i podnosząc go jak wieko pudełka, odkrył rodzaj okrągłej jamy, wydrążonej w skale. Była ona pusta. O krok dokonał tego samego manewru. Ukazała się nowa jama, również pusta. Trzy razy powtarzał to. I trzy jamy były próżne.

— Jakiż zawód! — roześmiał się Lupin. — Za Ludwika XI, za Henryka IV, za Richeliego musiały być pełne te pięć podziemnych szkatułek. Pomyśl jednak o Ludwiku XIV, o szaleństwach Wersalu, o wojnach, o porażkach w czasie jego panowania! Pomyśl o Ludwiku XV, królu rozrzutniku, o Pompadour, o du Barry! Ileż to stąd musiano czerpać! jakiemi szponami wydzierano z tej skały drogocenne kamienie. Widzisz, nic niema...

Zatrzymał się.

— Nie martw się, jest jeszcze coś... szósta szkatułka! Ta nienaruszona... Żaden z nich nie śmiał jej się dotknąć. Był to ostatni da nich ratunek. Patrz teraz...

Nachylił się i podniósł pokrywę. W jamie znajdowała się prawdziwa żelazna szkatułka. Lupin wyjął z kieszeni klucz i otworzył ją.

— Widzisz, mój mały przyjacielu? Pochłonęli oni wszystko, całe złoto, jakiego tu całe masy były, zostawili tylko nietkniętą tę szkatułkę. Ta jedna jedyna pozostała się w całości. Przyjrzyj się tym oprawom. Pochodzą one z różnych epok, z różnych wieków, z różnych krajów. Są to posagi królowych. Każda przyniosła swą część, Małgorzata Szkocka i Karolina Sabaudzka, Marya Angielska i Katarzyna Medicis i wszystkie arcyksiężniczki austryackie, Eleonora, Elżbieta, Marya Antonina... Patrz na te perły, na te wspaniałe, ogromne brylanty! Niema tu ani jednego, któryby nie był godny cesarzowej! „Retent“ nie jest piękniejszy!

Podniósł się i rzekł uroczyście:

— Beautrelet, powiesz światu całemu, że Lupin nie wziął ani jednego kamienia ze skarbca królewskiego, ani jednego, przysięgam to na swój honor. nie miał do tego prawa. Jest to własność Francyi...

Ganimard gorączkował się na dole. Z odgłosu uderzań łatwo było domyślać się, że przystąpili już do przedostatnich drzwi, przed salą z drobiazgami historycznymi.

— Pozostawmy tę szkatułkę otwartą — rzekł Lupin — i wszystkie te otwory, te małe puste grobowce.

Przeszedł się dokoła sali, przyjrzał się niektórym witrynom, popatrzył na kilka obrazów i szeptał w zamyśleniu:

— Jak smutno pozostawiać to wszystko! Jakiż żal! Najpiękniejsze swe chwile spędziłem przed temi arcydziełami, które tak ukochałem... I oczy me nie ujrzą już ich nigdy i ręce me nie będą się ich dotykały. Żegnam się z niemi.

Na twarzy jego malował się taki wyraz zmęczenia, iż Beautrelet odczuł litość dla niego. Boleść w tym człowieku musiała być większa, niż w innym, zarówno jak i radość, i duma, i poniżenie. Stając koło okna z ręką wyciągniętą w przestrzeń, mówił:

— Najsmutniejszem z tego jest to, iż muszę to wszystko opuścić. Czyż to nie piękne? morze niezmierzone... niebo... na prawo i na lewo skały nadbrzeżne z trzema bramami, bramą Aval, bramą Amont, bramą Manneport, jakby z trzema łukami tryumfalnemi dla zdobywcy... A zdobywcą byłem ja! Król awanturników! Król Igły wydrążonej! Królestwo me dziwne i niezwykłe! Od Cezara do Lupina... Co za przeznaczenie.

Roześmiał się.

— Król z bajki! Nie! Król świata całego! Z tego szczytu Igły panowałem nad światem całym. Trzymałem go jak zdobycz w swych rękach. Podnieś tyarę Saitapharnesa... Widzisz ten podwójny aparat telefoniczny... Na prawo komunikacya z Paryżem — linia specyalna. Na lewo komunikacya z Londynem — linia specyalna. Przez Londyn miałem Amerykę, Azyę, Australię! We wszystkich tych stronach posiadałem swe biura, swych agentów, swych urzędników. Prowadziłem handel wszechświatowy. Wszystkie dzieła sztuki i starożytności przechodziły przez me ręce. Ach! Beautrelet, miewałem chwile, gdy w głowie kręciło mi się z potęgi, jaką przedstawiałem sobą. Pijany byłem siłą i władzą...

Runęły przedostatnie drzwi. Słychać było, jak Ganimard biegnie ze swymi ludźmi i szuka...

Po chwili Lupin zaczął znowu przyciszonym głosem:

— I oto koniec... Zjawiło się młode dziewczę o jasnych włosach, pięknych smutnych oczach i czystej duszy, tak, czystej... i nastąpił koniec... sam zburzyłem potężny gmach... reszta wydaje mi się drobiazgiem... pozostały się tylko jej włosy... jej smutne oczy... jej czysta dusza.

Ludzie biegli po schodach. Od ciosu zatrzęsły się ostatnie drzwi.

Lupin chwycił za ramię młodego ucznia.

— Rozumiesz teraz, Beautrelet, dlaczego nie przeszkadzałem ci, choć tyle razy miałem możność zgnieść cię? Czy rozumiesz, że udało ci się dojść aż tutaj? Rozumiesz, że każdemu ze swych ludzi oddałem część łupu i że spotkałeś ich poprzedniej nocy na drodze? Pojmujesz to wszystko? Igła wydrążona oznacza awanturniczość. Dopóki należy ona do mnie, jestem awanturnikiem. Gdy ją porzucam, zostawiam za sobą całą przeszłość, a zaczynam przyszłość, przyszłość spokoju i szczęścia, kiedy nie będę się rumienił, gdy spoczną na mnie oczy Elżbiety...

Zwrócił się gniewnie ku drzwiom:

— Cicho-że bądź, Ganimardzie, jeszcze nie skończyłem!

Uderzenia sypały się jedno za drugiem. Drzwi lada chwila runą. Wprost Lupina stał zdumiony Beautrelet, oczekując dalszego biegu wypadków, nie pojmując zachowania się jego. Że oddał Igłę, dobrze, lecz dlaczego sam się oddaje? Jaki jego plan? Czy zamierza umknąć Ganimardowi? A gdzie jest Elżbieta?

Lupin szeptał tymczasem w zadumie:

— Uczciwość... Arseniusz Lupin uczciwy... prowadzić życie jak wszyscy... I dlaczego nie? niema racyi, bym nie znalazł takiego samego powodenia... Dajże mi spokój, Ganimardzie! Czyż nie wiesz, stary idyoto, że ja wymawiam teraz historyczne słowa, które notuje sobie Beautrelet dla naszych wnuków!

Zaczął się śmiać.

— Tracę daremnie swój czas. Nigdy Ganimard nie domyśli się doniosłości mych słów.

Wziął kawałek czerwonej kredy, przysunął do ściany stołek i napisał dużemi litcrami:

> Arseniusz Lupin zapisuje Francyi wszystkie swe skarby z Igły wydrążonej pod jedynym warunkiem, by zostały one umieszczone w Muzeum Luwru w salach noszących nazwę „Sale Arseniusza Lupina“.

— Teraz — rzekł — jestem w zgodzie z swem sumieniem. Francya i ja skwitowaliśmy się.

Napadający walili w drzwi z całych sił. Jedna z desek została wybita. Wsunęła się jakaś ręka, szukając zamka.

— Do licha! — zawołał Lupin — ten stary dureń Ganimard raz wreszcie może dojdzie do celu.

Skoczył do zamku i wyciągnął klucz.

— A psik, mój staruszku, drzwi te dość mocne... Mam jeszcze czas.. Beautrelet, do widzenia... Dziękuję ci!... mogłeś skomplikować atak... lecz jesteś delikatny!

Skierował się do wielkiego tryptyku Van den Weidena, przedstawiającego królów magów. Złożył prawe skrzydło i odkrył przez to małe drzwi, które chwycił za klamkę.

— Powodzenia, Ganimardzie, życzę ci wszystkiego dobrego!

Rozległ się huk strzału. Odskoczył na bok.

— Ach! kanalia, w samo serce! Toś ty się uczył strzelać? Biedny król! W samo serce! Przedziurawił go na wylot!

— Poddaj się, Lupin! — krzyczał Ganimard z błyszczącemi za deską oczami i z wystawionym rewolwerem... Poddaj się!

— Czyż gwardya poddaje się kiedy?

— Jeżeli się ruszysz, strzaskam ci łeb.

— Nie bój się, nie możesz mnie dosięgnąć.

Lupin rzeczywiście odsunął się i jeżeli Ganimard mógł strzelać przez otwór w drzwiach wprost niebie, nie mógł jednak mierzyć tam, gdzie stanął Lupin. Położenie jednak jego było straszne; wyjście za tryptykiem, na które liczył, otwierało się wprost Ganimarda. Próbować ucieczki, było to samo, co narażać się na strzały inspektora, który miał jeszcze pięć kul w rewolwerze...

— Oho — roześmiał się — akcye me spadają. Zasłużyłem sobie na to, chciałem doznać ostatniego jeszcze wzruszenia i za bardzo przeciągnąłem strunę. Nie trzeba było gawędzić.

Przysunął się do ściany. Pod naciskiem ludzi jeszcze jedna deska wypadła z drzwi i Ganimard miał większą swobodę ruchów. Najwyżej trzy metry rozdzielały obu przeciwników. Witryna jednak ze złoconego drzewa osłaniała Lupina.

— Do mnie, Beautrelet — zawołał stary agent, pieniąc się z wściekłości — strzelaj, zamiast się gapić.

Izydor jednak nie ruszał się, jako przejęty a zarazem niezdecydowany widz. Chciał wmieszać się

do walki i powalić zależnego teraz od siebie wroga. Jakieś jednak niewytłómaczone uczucie nie pozwalało mu tego uczynić. Wezwanie Ganimarda wstrząsnęło nim. Ręką ściskał rękojeść rewolweru.

— Jeżeli przyjmę udział — myślał — Lupin jest zgubiony... mam do tego prawo... to mój obowiązek...

Oczy ich spotkały się. Wzrok Lupina był spokojny, uważny, prawie ciekawy, jakby w tem strasznem niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, zajęty był tylko wrażeniami młodego ucznia. Czy Izydor zdecyduje się na strzał do pokonanego przeciwnika?

Drzwi znowu zatrzeszczały.

— Do mnie, Beautrelet, trzymamy go — wołał Ganimard.

Izydor wyjął rewolwer.

To, co się teraz stało, było tak szybkie, iż z początku nie mógł zdać sobie z tego sprawy. Ujrzał jak Lupin się schyla, biegnie wzdłuż ściany, mija drzwi pod wyciągniętą ręką z rewolwerem Ganimarda i nagle poczuł Beautrelet, że jest rzucony na ziemię, a jednocześnie prawie i podniesiony do góry jakąś nadludzką siłą. Lupin trzymał go w powietrzu jak żywą tarczę, za którą się ukrywał.

— Dziesięć przeciw jednemu, Ganimardzie, że umknę! Z Lupinem zawsze bywają takie niespodzianki...

Cofał się szybko ku tryptykowi. Jedną ręką trzymając Beautreleta przyciśniętego do swej piersi, drugą otworzył wyjście i zamknął za sobą drzwi. Był ocalony.

Przed sobą znalazł zaraz schody, po których zaczął się szybko zsuwać.

— Prędzej, odezwał się Lupin, popychając przed sobą Beautreleta — armia lądowa została więc pokonana... zajmijmy się teraz marynarką francuską... Po Waterloo, Trafalgar... Dostałeś nauczkę, mały!... Ach! jakie to śmieszne, kręcą się teraz koło tryptyku... Za późno, dzieci. Ale, idźże, Beautrelet...

Schody wydrążone Igły znajdowały się jakby w wierzchniej skorupie skały i otaczały ją linią spiralną. Zbiegali na dół po dwa, po trzy stopnie odrazu. Co kilka kroków przedzierało się przez szpary światło i Beautrelet mógł dojrzeć pływające do koła barki a w dali torpedowiec...

Schodzili, Izydor w milczeniu, Lupin nie przestając mówić.

— Chciałbym wiedzieć, co teraz robi Ganimard? Biegnie może po drugich schodach, by mi zagrodzić drogę w tunelu? Nie, nie jest tak bardzo głupi... Zostawił tam czterech ludzi...

Zatrzymał się.

— Słyszysz... krzyczą na górze... tak, otworzyli okno i wołają na swą flotę... Patrz, barki się poruszają, wymieniają jakieś znaki... torpedowiec płynie... dzielny torpedowiec! poznaję cię, płyniesz z Hawru... kanonierzy na swe miejsca! Do licha, to komendant... Dzień dobry, Duquay-Srouin!

Wyciągnął rękę przez otwór i poruszał chustką. Potem zaczął znowu spuszczać się.

— Flota nieprzyjacielska płynie całą parą — mówił ciągle. — Atak nieuchronny. Ach! jak ja się bawię!

Z dołu dolatywały ich jakieś głosy. W chwili tej doszli do poziomu morza i wstąpili do obszernej groty, w której błyszczały dwa światła latarń. Z mroku wyłoniły się dwa cienie i jakaś kobieta zarzuciła ręce na szyję Lupinowi.

— Prędzej! prędzej! byłam niespokojna!... Coś ty robił?... Ale ty nie jesteś sam?...

Lupin uspokoił ją.

— To nasz przyjaciel Beautrelet... Wyobraź sobie, że był on tak delikatny... opowiem ci to jednak później... nie mamy czasu... Charolais, jesteś?... Aha, dobrze... A statek?

Charolais odpowiedział:

— Gotów.

— Podpal — wydał rozkaz Lupin.

Po chwili rozległo się lekkie trzaskanie motoru i Beautrelet, który przyzwyczaił się pomału do ciemności, ujrzał, iż stoi przed jakąś wodą, a na niej kołysze się statek.

— Łódź automobilowa — wyjaśnił Lupin... Bo, zadziwia cię to, mój Izydorku... Nie rozumiesz?... Ponieważ woda, którą widzisz, jest wodą morską i podnosi się przy każdym przypływie, mogłem więc urządzić sobie tutaj małą i bezpieczną przystań...

— Lecz zamkniętą, zauważył Beautrelet. Nikt nie może wejść, ale nikt i wyjść.

— Owszem, ja zaraz ci to dowiodę.

Sprowadził naprzód Elżbietę, potem powrócił po Beautreleta. Izydor zawahał się.

— Boisz się? — zapytał Lupin.

— Czego?

— By cię torpedowiec nie posłał na dno.

— Nie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do rozwiązania.

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety.

— ☐ —
— ☐ —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — — — ☐ — — — —
— ☐ —
— ☐ —
— ☐ —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — — — ☐ — — — —
— ☐ —
— ☐ —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — — — ☐ — — — —
— — — — ☐ — — — —
— — — — ☐ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Nizki głos żeński. 2. Rzeka w Polsce. 3. Miasto na Węgrzech 4. Część instrumentu muzycznego 5. Powieść A Piętkiewicza. 6 Dokument urzędowy. 7. Rzeka w Rosyi. 8. Zwierzę domowe. 9 Poeta polski. 10. Komedya Jordana. 11 Jednostka pracy. 12. Poeta polski 13. Utwór H. Sienkiewicza 14 Miasto w Rosyi azyatyckiej. 15. Komedya Jordana. 16 Hetman polski z XV. w. 17. Miasto w Bawaryi. 18. Rajca krakowski z XIV. w.

Figielek.

Ułożył Cz. Kozłowski Warszawa.

Trzy litery w jednym rzędzie
A z nich radość będzie.

Zadanie królewskie.

Ułożył S. Faliszewski, Baligród.

(Z Krasińskiego).

		bir	ni	czem	
	sy	czem	ni	ty	knn
lecz	tur	les	nych	i	to ból
król	na	tor	cie	ty	do lów
	ro	duch	tru	pie	bó
		du	za	ro	

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie: Rów, Bug, dzik, tonie, szyk, no, wio.

Kwadrat magiczny.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Cyfry tak poprzestawiać, aby we wszystkich kierunkach, t. j. pionowym, poziomym i wzdłuż przekątni, dały sumę 65.

1	2	3	4	5
6	7	8	9	10
11	12	13	14	15
16	17	18	19	20
21	22	23	24	25

Figielek.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Kot, rak, Odra, lek, łobuz, kos, wóz, kora, bek, kajak, rytm, Stanisław, żona.

Z każdego słowa
Biorąc po literze
Złożysz nazwę męża
Co kraj kochał szczerze.

Zagadka.

Ułożyła K. Bartnikówna, Żarki.

Wprost jestem rzeką w Azyi znaną
A wspak postacią w biblii opisaną.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E. Sowiński, Ropki.

Słowak, wozy, styryj, tuz, ledwo, o.

Biorąc po jednej literze
Otrzymasz stowarzyszenie
Szerzące oświatę szczerze,
Wypróżniaj więc dłań kieszenie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, Polak we Włoszech.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie: Cud, goł, koz', o, o, ser, ten, wie, niec, żal.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Jokaja:* **Poruszymy z posad ziemię.** Powieść w czterech tomach.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie